odgłosu

TYGODNIK

ROK VII

Nr 30 (334)
26. VII. 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ

W numerze: Siedemdziesięciu z Łękawy • Na trasie „Wostok" — „Mirny" • Smak morza • Notatki leniwego turysty • „Uliczka dobrych ludzi" • Robot z pistoletem • Recenzje • Polonica • Felietony

XX LAT PRL

ROMAN ŁOBODA

Wymarsz z Lublina

W Lublinie było rojno: cywile i wojsko. Mundury polskie i radzieckie. Gwarno. Personel medyczny oddał cywilne szatki, wykąpał się i przebrał w mundury. W Burzatym jakby się coś odmieniło. Jakby w wielkim tłoku zdobył miejsce siedzące. Dostał oficerski uniform bez dystynkcji. Felczer przywdział mundur sierżanta. Okazało się, że mały chirurg jest kapitanem, a Gesz i farmaceuta mieli stopnie poruczników. Chuda w mundurze wydawała się jeszcze chudsza, a pielęgniarka o ciepłych i jędrnych udach jakby urosła, wysmuklała, a piersi jej nic nie straciły z wyzywającej strzelistości. Partyzant chodził chmurny w mundurze kaprala; gryzł wargi i patrzył na świat nieufnie. — Ale wojsko — myślał i w tym jego myśleniu uosobieniem wojska był felczer, który nie wyglądał zbyt bojowo w opiętym, kusym mundurku. — Ale wojsko — myślał młody partyzant z bliznami na skórze i odznaczeniem w kieszeni, patrząc na farmaceutę o ascetycznej twarzy, w której oczy przeczyły nie tylko idei wojny, ale i najmniejszej brutalności czy nawet drobnej szorstkości.

Burzaty też nie przypadł mu zbytnio do gustu: nie wyczuwał w nim partyzanta ani nawet żołnierza. — To ci wojsko — pomyślał partyzant i poszedł „na miasto". Żarło go zwątpienie i gorycz.

Nazajutrz mieli wyruszyć; więc pozostało im jeszcze parę wolnych godzin. Burzaty też wyszedł z prowizorycznego kasyna, gdzie oficerowie sztabowi i lekko ranni kościuszkowcy, prowadzili ożywione rozmowy, pili piwo, a niektórzy grali w karty, szachy lub bilard.

Miasto hałaśliwe i niezbyt czyste prowadziło życie nad stan: tymczasowo będąc siedzibą rządu — w swojej euforii szczęśliwe. Samochody pędziły, a w nich siedzieli oficerowie ogorzali i zakurzeni. Burzaty myślał: — oto skończył się drugi etap mojego życia, okrutny i pełen wątpliwości, smutny i namiętny. Oto oderwany od trwania w determinacji wkraczam w coś, co można by nazwać finałem tamtego okresu, a może nawet początkiem nowego etapu historii. Może będę świadkiem i współtwórcą czegoś, co zaważy na losach przyszłych pokoleń — nowego. Złego czy dobrego? Jeżeli klęska Niemiec — myślał — to na pewno lepszego.

Kościuszkowcy w rogatywkach z orzełkami mijali Burzatego, a on salutował im jak umiał najlepiej, nie zważając na ich dystynkcje — po prostu witał ich i czuł, że fala wzruszenia przybiera w nim. Szedł tak przez gwarne ulice Lublina z zaciśniętymi szczękami i wchłaniał te atmosferę gorączki, podniecenia i radości: wróg wycofuje się, a on Burzaty, też jest wśród nich, tych młodych i starszych w rogatywkach.

Od czasu do czasu ulicami miasta przejeżdżały czołgi, samochody z wojskiem, sprzętem, żywnością; ciężkie działa dudniły tonacją groźną, ale i krzepiącą. Niekiedy wracali spóźnieni chłopi popędzając mizerne koniki biczyskiem, pokrzykując: wiśta! hejta! Na wozie baby, dzieci, dobytek, a za nimi krowa, źrebak, a czasem koza. Skrzypienie kół, płacz dzieci, pochrzakiwanie świń, gdakanie kur — to

wszystko mieszało się z przedwieczornym podnieceniem miasta. Podniecenie powoli unosiło się z ulic do kamienic, domów, mieszkań: tam zapalało światła i w tym świetle ludzie, z których jeszcze nie opadło przerażenie, a już wstąpiło w nich podniecenie bliskie radości; ludzie w tym pogmatwanym świetle odczuć bliscy odprężenia, ale jeszcze pełni napięcia, krążyli wokół siebie i nie mogąc inaczej wypowiedzieć tego swojego pogmatwania i światła krążyli wokół siebie; coraz bliżej zacieśniał się krąg, niepokój przenikał radość — mieszali z sobą uczucia, zawęźlali się, a gdy noc zapadała, namiętność przesłaniała im czas aż do świtu, jeżeli nie byli sami było im jaśniej, jak nawet b[illegible]a w inny czas.

Burzaty wrócił na kolację do kasyna. Mały chirurg, doktor Gesz, farmaceuta i felczer siedzieli już przy stole. Gesz uśmiechnął się do Burzatego przyjaźnie, gdy ten usiadł.

— Jak poszło? — zapytał felczer.

— Przeszedłem się po mieście — powiedział Burzaty.

— Jutro wyruszamy — zauważył mały chirurg rzeczowo. Farmaceuta milczał. — Gdzie? — zapytał felczer.

— Na front — odparł chirurg.

— Gdzie? — powtórzył pytanie felczer.

Chirurg wytrzeszczył na pytającego oczy. — Na front! Przecież wyraźnie mówię!

Felczer rozpiął bluzę i widać było dokładnie jak brzuch mu opada niby woda w przedziurawionym naczyniu. Gdy już zdawało się, że brzuch ten może zniknął na długo, albo i na zawsze, on (ten brzuch) znów zaczął przybierać, wypełniać pomarszczoną bluzę, aż wydobył się z niego (tego brzucha) głos niski i jakby zachrypły. — Pytałem, gdzie jest ten front?

Chirurg strzepnął palcami pytanie, spojrzał na ziemię, jak gdyby oglądał je rozbite lub toczące się gdzieś w niewidoczny kąt, bowiem niczego więcej nie mógł powiedzieć, gdyż nie znał miejsca, dokąd mają jutro pojechać. Nie chciał stracić zainteresowania obecnych, więc powiedział z akcentem tajemniczości: — Na front — odczekał chwilę i skończył — a gdzie... chcieliście wiedzieć gdzie? — Spojrzał nieufnie na felczera — tego nie mogę jeszcze powiedzieć. Tajemnica wojskowa.

Doktor Gesz układał zapałki w mały stosik i wkładał do niego wskazujący palec. — Już wiem, gdzie pojedziemy — powiedział.

— Gdzie? — zaniepokoił się chirurg.

— Na front — powiedział obojętnie Gesz.

— Na front — powtórzył felczer i coś mu nieprzyjemnie zabulgotało w brzuchu, ale zaraz umilkło.

Chirurg poczuł się urażony. — Może wiecie, kolego? Powiedzcie, powiedzcie. Słuchamy...

— Tak, wiem gdzie pojedziemy.

— No, no... — zachęcał chirurg z ironią w głosie.

— Pojedziemy tam, gdzie mamy pojechać i ani trochę inaczej, bowiem droga nasza jest przewidziana już dawno i z góry określona. Nie możemy zawrócić ani skręcić, nawet zahamować, choć może nam się zdawać, że właśnie możemy, ale to jest złudzenie, gdyż tor, po którym biegniemy jest stalowym tunelem i chociażbyśmy bardzo tego chcieli...

— Słusznie, poruczniku — przerwał z uznaniem mały chirurg — słusznie mówicie. Wszystko dokładnie obmyśliło dowództwo i przewidziało; tak, dobrze mówicie,

Dalszy ciąg na str. 6

ADAM LEŚNIEWSKI

Pierwsze dni

Były to trudne miesiące. W tym niezniszczonym przez działania wojenne mieście znajdowało się z 627 tys. przedwojennych mieszkańców nie więcej niż 250 tys. osób, wliczając w to 917 Żydów (z 159 851, których naliczono jeszcze w lipcu, 1940 r.), którzy zdołali przetrwać w ukryciu na terenie getta do chwili wkroczenia do miasta Armii Czerwonej. W ciągu pierwszych kilku miesięcy od wyzwolenia, miasto wchłonęło olbrzymią ilość (171 tys.) mieszkańców, którym musiało zabezpieczyć najskromniejszy choćby dach nad głową, żywność i pracę. Tymczasem możliwości zaspokojenia tych potrzeb były szczególnie trudne na skutek działalności okupanta, który doprowadził do dewastacji zakładów przemysłowych (28,5 proc.) zniszczeń gospodarki energetycznej (39,8 proc.) i innych urządzeń technicznych (42,7 proc) Stan budynków mieszkalnych — jeżeli abstrahować od spustoszonej dzielnicy północnej, gdzie znajdowało się getto — był względnie zadowalający. Jednakże w Łodzi, podobnie jak i w innych dotkniętych ruiną wojenną miastach Polski, sytuacja mieszkaniowa uległa gwałtownemu pogorszeniu w miarę jak do Łodzi napływały coraz to nowe fale bezdomnej ludności z kraju i z zagranicy.

W pierwszym okresie po wyzwoleniu Łódź znajdowała się w obliczu groźby załamania systemu aprowizacyjnego i poważnych trudności w zakresie zaopatrzenia w paliwa. Trudności te wynikały stąd, że okupant zdołał wywieźć znaczną część zapasów żywnościowych. Jeżeli chodzi o sprawę opału, to według relacji ówczesnego kierownika grupy operacyjnej na m. Łódź inż. H. Golańskiego: „...była taka doba czy dwie doby..., że transporty wojskowe

Dalszy ciąg na str. 3

odgłosy W świecie

GOLDWATEROWSKI CIOS W... REPUBLIKANÓW

Wszelkie nadzieje części republikanów, na to że mimo oznak na niebie i ziemi, Barry Goldwater nie uzyska nominacji zjazdu i nie będzie kandydował z ramienia tej partii na prezydenta Stanów Zjednoczonych — rozwiały się. Już w pierwszym głosowaniu senator z Arizony otrzymał 883 głosy na 1 308 delegatów. Tak więc z forsowanej teorii przez tych, którzy nie chcieli prawdzie spojrzeć w oczy, o „dwóch wrogach": Goldwater i Rockefeller i wyborze w rezultacie „złotego środka" pozostał tylko mit. Konwencja w San Francisco zadała partii republikańskiej bolesny cios.

Już dni poprzedzające zjazd nie wróżyły nic dobrego. Do San Francisco przybyły tłumy zwolenników niepoczytalnego senatora, swe sympatie demonstrując chemicznym wzorem: Au H_2O, co w iście amerykański sposób oznaczało — popieramy Goldwatera (złoto + woda).

Zresztą nic dobrego nie wróżyła również rozsądna analiza układu sił. Wiliam Scranton, który miał stanowić zaporę przeciwko senatorowi z Arizony, swej misji nie spełnił. Nie pomogli mu w tym ani Eisenhower, ani Lodge, ani inni znani republikanie. Ich wypowiedzi, jeśli nawet nie popierały Goldwatera — nie były także przeciwko niemu wymierzone. A Południe, a siły zachowawcze różnej maści nie ustępowały. Szala wagi przechyliła się więc w sposób jednoznaczny...

Moglibyśmy powiedzieć: „czego chcieliście, oto i macie..." gdyby nominacja Goldwatera była li tylko wydarzeniem wewnątrzpartyjnym. Tak jednak nie jest. Wskazuje ona na istnienie w szerokich rozmiarach tendencji konserwatywnych i to takich, które nic a nic nie rozumieją, co zmieniło się wokół nich. Ciemne okulary zaś u polityków, odgradzające ich od świata zewnętrznego to atrybut równie niepoważny, co i niebezpieczny.

Jakie poglądy wyraża Goldwater — Czytelnicy mieli okazję zapoznać się z licznych publikacji. Nie będziemy przeto charakteryzować programu senatora. Najkrócej można by rzec, że jest to program niepoczytalny, oparty o demonstrację siły

Spróbujmy natomiast wskazać na oczywiste sprzeczności, które dostrzegają co rozsądniejsi republikanie.

Goldwater w polityce wewnętrznej jest zdecydowanym antyfederalistą Chciałby on radykalnie ograniczyć wpływ władz centralnych na korzyść stanowych. Z drugiej jednak strony jego program polityki międzynarodowej — program, podkreślmy, agresywny — gdyby miał być kiedykolwiek urzeczywistniony, wymagałby czegoś wręcz odwrotnego.

Nic przeto dziwnego, że wielu komentatorów łamie sobie głowę nad tym „goldwaterowskim dualizmem", dochodząc do wniosku że w całej tej gadaninie brak po prostu logiki.

„Jeśliby goldwateryzm został zastosowany zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej — Stany Zjednoczone znalazłyby się w niesłychanym położeniu..." — stwierdza Walter Lippman na łamach „New Jork Tribune", po czym przystępuje do szczegółowej krytyki obu części programu. Zacytujmy z tych rozważań jeszcze jeden mały fragment.

Oto on:

„Goldwateryzm w polityce wewnętrznej, zmierzający do przywrócenia obrazu Ameryki takiej, jaką była ona w minionym stuleciu miałby sens tylko wtedy, jeśli moglibyśmy również cofnąć świat do takiego stanu, w jakim był on przed obu wielkimi wojnami, wielkimi rewolucjami, eksplozją demograficzną i technicznymi osiągnięciami XX wieku".

Krytyka pryncypialna. Jakże więc mogło się stać, że człowiek głoszący taki program, otrzymał nominację konwentu?

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Niektórzy przypisują to rosnącym wpływom kapitału z zachodniego wybrzeża St. Zjednoczonych i Teksasu. Dotychczas — mówią oni — jedno słowo sfer bankowych wschodniego wybrzeża decydowało o wyborze, dziś ten monopol kończy się.

Nie jest to pozbawione sensu. Jeszcze istotniejsze jest jednak z pewnością to, że partia republikańska w krytyce polityki Kennedy'ego posunęła się zbyt daleko. Kiedy powiedziało się A, B były warunki, by dopowiedzieć i Z. Zrobił to z całą brutalnością Goldwater.

Konwent zdecydował, by właśnie pod takim sztandarem partia republikańska ruszyła do boju o fotel prezydencki. Czy otwiera to jej jakiekolwiek szanse,

Na pewno — nie. Ceremonia koronacyjna Goldwatera pogrzebała i tak nikłe możliwości, by w listopadowych wyborach prezydentem został republikanin. Przyznał to zresztą i sam Goldwater w wywiadzie dla „Der Spiegel". Na pytanie, czy pokona Johnsona odpowiedział wprost:

„W takiej sytuacji jaka obecnie istnieje... — nie. Nie sądzę, aby w chwili obecnej jakikolwiek kandydat republikański miał takie szanse..."

Potwierdzają to również liberalni republikanie słodząc swe przygnębienie jedynie nadzieją, że **„sromotna porażka zdyskredytuje konserwatywnego prawicowca".**

Cóż do tego dodać? Chyba tylko to, co bardzo słusznie zauważył Sulzberger w „New Jork Times":

„Fakt że umiarkowane kierownictwo partii zawiodło, że nie doceniło wcześnie powagi groźby Goldwatera — wystawia temu kierownictwu wymowne świadectwo..."

W. SŁAWSKI

OKRUCIEŃSTWA MAŁEJ WOJNY

Zdjęcie powyższe pochodzi z reportażu Japończyka A. Okamury. Zostało wykonane w zdobytej przez wojska rządowe południowowietnamskiej wiosce, którą obrzucono bombami. We wsi znajdował się tylko jeden starzec, pomagał ocalałym kobietom gasić pożar.

Żołnierze szukali partyzantów. Wyciągniętych z rowu, w którym się ukryli, przyprowadzono do dowódcy. „Gdzie ukryliście broń i gdzie są komuniści?" Chłopi milczeli. Wówczas poddano ich torturom. Fotoreporter Okimura zaprotestował głośno. Jeden z żołnierzy odciął mu krótko: „To nasz obowiązek".

Partyzant (na zdjęciu) poddany był wodnej torturze. Nie wskazał jednak miejsca, w którym ukrył broń. Milczał do końca...

MT

HAROLD WILSON — ZWYCIĘZCA?

W Londynie ukazała się książka, mająca szansę stać się bestsellerem: „Portret autentyczny" jest biografią Harolda Wilsona przywódcy Labour Party i — kto wie, może po wyborach jesiennych — premiera nowego rządu Anglii. Książka, o której mowa, nie jest zresztą jakimś popisem literackim i nie inicjowała ją potrzeba zwierzeń: jest ona aktem politycznym działacza, który przygotowuje się do trudnej rozgrywki o władzę. A wyborcza walka konserwatystów z Partią Pracy, która rozstrzygnie się jesienią, zadecyduje nie tylko o najbliższej przyszłości Anglii: będzie miała ona swój pokaźny wpływ na losy całego współczesnego świata, z którym łączą Anglię więzy i Commonwealthu, i paktów wojskowych NATO i wreszcie całego gąszczu skomplikowanych powiązań polityki, ekonomiki i militariów.

Partia Pracy — o czym trzeba pamiętać — idzie wprawdzie do wyborów z dużą szansą zwycięstwa wzmocniona moralną i polityczną kompromitacją konserwatystów, ale i z balastem niemal tradycyjnych przegranych (kolejno w latach 1951, 1955, 1959). Autobiografia Wilsona rysuje sylwetkę przywódcy, który ją poprowadzi do tej walki. Jest to portret subiektywny i zapewne nieco podrysowany pod gusta czytelników. Warto jednak przyjrzeć się tej sylwetce.

● Już w młodości Wilson odznaczał się — według opinii nauczycieli i zwierzchników niezwykłą umiejętnością dokonywania syntetyzujących ocen. Ta cecha sprawiła w czasie wojny, iż będąc najmłodszym ministrem koalicyjnego rządu — uchodził za jego filar.

● Wieloletnia działalność polityczna Wilsona wyrobiła w nim dwie dominujące cechy: nieustępliwość („jak buldog...") i szczególny nonkonformizm.

● Wilson jest uczuciowy i wrażliwy, choć stara się tego nie okazywać. Słynie z umiejętności doboru ludzi i wygrywania ich zalet.

● Z tradycji rodzinnej wyniósł Wilson purytańską surową obyczajowość. Jej podkreślenie służyć będzie zapewne w walce politycznej w związku z osławioną rozwiązłością arystokracji (afera Profumo).

● Wilson nienawidzi angielskiego snobizmu i śmiało podkreśla pogląd, iż nadszedł kres wyspiarskiej splendid isolation.

● „Marksizm" Wilsona jest oczywiście typu socjaldemokratycznego niemniej widzi on siebie na lewym skrzydle swej partii.

Oto polityczna sylwetka człowieka, który jest powszechnie uważany za polityka nr 1 Anglii. Dodajmy, że w sprawach dotyczących Niemiec i rozbrojenia reprezentuje Wilson poglądy realistyczne i bliskie naszym. W rozgrywce z konserwatystami należy więc mu życzyć zwycięstwa.

POLONICA

JESZCZE O „EROICE" MUNKA

Niezależne czasopismo studenckie „Konkret", wydawane w Hamburgu, zamieszcza recenzję o „Eroice" Munka w numerze czerwcowym. Recenzent pisze: „Nareszcie można u nas zobaczyć składającą się z dwu części lekcję satyryczną o wątpliwym żołnierskim bohaterstwie — dzieło przedwcześnie zmarłego Andrzeja Munka". Następnie, po streszczeniu fabuły obydwu filmów, recenzent podnosi wartości obrazu i podkreśla niezwykły talent reżysera.

O CONRADZIE I NAJDERZE

Z powodu ukazania się w Anglii książki naszego Conradologa, Zdzisława Najdera pt. „Conrad's Polish Background" (Polskie tło Conrada), zawierającej korespondencję Conrada z Polakami, znany krytyk angielski, V.S. Pritchett, napisał w „New Statesman" (z 29 maja br.), że na twórczość Conrada wywarli m. in. duży wpływ Mickiewicz i Słowacki. W Jacku Soplicy z „Pana Tadeusza" widzi krytyk prototyp „Lorda Jima". W tym samym numerze pisma George Lichtheim pisze o zainteresowaniu w Polsce Heglem i omawia wydany u nas niedawno wybór jego pism, a także pracę o Heglu, pióra Tadeusza Krońskiego.

GUENTER GOERLICH O POLSCE

Na łamach interesująco redagowanego miesięcznika „Neue Deutsche Literatur", wydawanego w Berlinie wschodnim, ukazał się w numerze majowym artykuł Güntera Görlicha pt. Eindrücke einer Polenreise" (Wrażenia z podróży do Polski). Autor, który był członkiem delegacji pisarzy, opowiada o swoich wrażeniach z pobytu w Warszawie, Wrocławiu i Katowicach. Oto, co pisze on w swoich rozważaniach: „W Polsce stwierdzaliśmy raz po raz: zbyt mało wiemy o najnowszych zjawiskach literatury polskiej, tak jak nasi polscy koledzy również mało wiedzą o naszych sprawach. Jakie mamy możliwości, jakie punkty zaczepienia? Niepewność w tym względzie i nieznajomość życia literackiego danego kraju prowadzą do tego, że spotkania nasze mają bardzo ogólnikowy charakter — jeśli nie ma dość wiele czasu na poznanie życia. Wymieniamy wprawdzie wiele przyjacielskich zdań, ale nie prowadzimy interesujących konkretnych rozmów. Nie mówię tu o ludziach, którzy specjalnie zajmują się literaturą polską, mówię o kolegach — pisarzach tu u nas i w Polsce Ludowej. Trzeba by zbadać przyczyny i istniejący stan rzeczy zmienić na lepszy." No cóż — możemy tylko temu przyklasnąć. A swoją drogą wydaje nam się, że mimo to my więcej wiemy o Niemczech, niż Niemcy o Polsce.

POLONICA — NOTKA

W tygodniku kulturalnym „Sonntag" — wychodzącym w NRD ukazała się entuzjastyczna recenzja — essej Eduarda Zaha o powieści Jerzego Andrzejewskiego „Popiół i diament". Zah uważa powieść Andrzejewskiego za jedno z najwybitniejszych wydarzeń literackich ostatnich lat.

W tym samym numerze Fred Gehler omawia filozoficzne aspekty filmowej adaptacji powieści Andrzejewskiego. W szczególności autor podkreśla wpływ osobowości twórczej reżysera — Andrzeja Wajdy — na przekształcenie materiału literackiego w pełen ekspresji, symboliki i metafor filmowy dokument tragicznego czasu.

NOWA KSIĄŻKA O POLSCE

Otrzymaliśmy obszerną (350 stron druku) książkę o Polsce, wydaną w NRF. Autor: Hans Joachim Orth, tytuł publikacji: „Diesseits und jenseits der Weichsel. Der Schlussel zum heutigen Polen". (Z tej i z tamtej strony Wisły. Klucz do dzisiejszej Polski). Autor, urodzony w 1922 roku, jest znanym dziennikarzem i literatem, odbył kilka podróży po Polsce i przez lata całe gromadził materiały do swojej książki. W dwudziestu jeden rozdziałach przekazuje autor barwne impresje ze swoich podróży po Polsce, w trzydziestu dziewięciu dalszych odcinkach omawia w formie encyklopedycznej wszystkie dziedziny życia naszego kraju. Ze zrozumiałych względów najbardziej zainteresowało nas to, jak Orth widzi i ocenia naszą kulturę. Stwierdziliśmy z przyjemnością, że rozdziały poświęcone szkolnictwu, sztuce plastycznej i filmowej, teatrom i literaturze zawierają wiele informacji, odznaczających się ścisłością i źródłowym ujęciem. Książka, bogato ilustrowana, opatrzona została również mapkami, oraz słowniczkiem nazw polskich i miejscowości na ziemiach zachodnich. Należy wyrazić zdziwienie, że o książce Hansjakoba Stehle „Nachbar Polen" pisano w naszej prasie sporo, natomiast o tej, która jest o wiele dla nas przychylniejsza, nie pisano nic zgoła.

MONOGRAFIA O BYRONIE

W Anglii ukazała się monografia prof. Josepha o Byronie pt. „Byron, the Poet". W tej obszernej pracy prof. Joseph scharakteryzował życie i twórczość romantycznego poety angielskiego, dokonał oceny jego dorobku z perspektywy naszego czasu dowodząc, że wiele utworów zestarzało się, natomiast poemat „Don Juan" okazuje się wciąż żywy i współczesny. W monografii mowa jest również o sprawach polskich, głównie o Adamie Mickiewiczu, który — jak wiadomo — przez pewien czas znajdował się pod wpływami Byrona i przekładał na polski jego wiersze.

W BERLINIE O DYMSZY

Nakładem Henschelverlag ukazała się w Berlinie wschodnim książka pt. „Mimen und Mienen", zawierająca karykatury słynnych niemieckich i europejskich gwiazd teatralnych i filmowych. Karykatury w wykonaniu Haralda Kretzschmara opatrzone są krótkimi notkami, charakteryzującymi poszczególnych artystów pióra Rudi Strahl. Z Polaków uwzględniono Adolfa Dymszę. W notce czytamy o nim między innymi: „Warszawski Teatr Satyry „Syrena" posiada w nim artystę wielkiego formatu. Nierzadko interpretuje on na scenie również „małe dramaty" własnego pióra. Największy komplement, jaki jeden warszawiak może sprawić drugiemu warszawiakowi z racji jego humoru, brzmi: „To mogłoby pochodzić od Dymszy".

POLONICA

Pierwsze dni

Dalszy ciąg ze str. 1

z węglem ze Śląska nie mogły nadejść. Było wiadomo, że w ciągu 48 godzin nie nadejdą i była groźba zatrzymania elektrowni, która dotąd funkcjonowała bez przerwy. Byłby to niewątpliwie szok dla środowiska robotniczego Łodzi i całej ludności. Dodajmy, że elektrownia łódzka nie zawiesiła wtedy dostawy prądu dla mieszkańców miasta.

19 stycznia 1945 r., w dniu wkroczenia Armii Radzieckiej do Łodzi wywieszono pierwsze polskie plakaty: **odezwa Tymczasowego Rządu Polskiego do ludności oraz obwieszczenie informujące o wyznaczeniu przez Rząd swoich przedstawicieli na nowowyzwolone tereny.** Tego samego dnia ukonstytuował się samorzutnie Tymczasowy Komitet Obywatelski m. Łodzi z siedzibą przy ul. Piotrkowskiej 104. Przewodniczącym Komitetu został inż. Mieczysław Kosiński. Komitet starał się przeciwdziałać rabunkom i samosądom, które tu i ówdzie występowały na terenie miasta. W tym samym czasie w domu przy placu Wolności 9 niejaki pan Kamiński przystępował do tworzenia innego Komitetu*) Oba te Komitety nie miały nic wspólnego z działającą w Łodzi w czasie okupacji Polską Partią Robotniczą. Ta ostatnia została do tego stopnia wykrwawiona przez gestapo wiosną 1943 roku i w okresie późniejszym, że miała trudności kadrowe w tworzeniu nowej władzy w momencie wyzwalania miasta.

To samo dotyczy PPS działającej podczas okupacji oraz zniszczonej wraz z resztą ludności getta, żydowskiej antyfaszystowskiej organizacji, kierowanej przez komunistów.

Gdy 21 stycznia 1945 r. do Łodzi przybył oficjalny przedstawiciel polskiego Rządu Tymczasowego **pułkownik Ignacy Loga-Sowiński**, rozwiązał Komitet Obywatelski i **powołał na jego miejsce Tymczasowy Zarząd Miejski, a następnie Radę Narodową.**

Odtąd Łódź została objęta rewolucyjnymi przemianami, które nie ominęły żadnej dziedziny życia społecznego i zadecydowały o ogromnym awansie miasta i jego mieszkańców. Poczynania nowej władzy spotkały się z miejsca z poparciem dużej części łodzian. W pięć dni po wypędzeniu hitlerowców (23.1.1945) na pierwszym zebraniu członków PPR stawiło się już 600 osób. W następnych tygodniach i miesiącach liczba ta szybko wzrastała, zaś masa bezpartyjnych ludzi pracy umacniała swą władzę działalnością produkcyjną i gotowością obrony nowego ustroju. Wkrótce minął okres upojenia wolnością a nastroje społeczeństwa coraz bardziej były kształtowane przez nielatwe warunki jeszcze wojennej egzystencji.

***) Wszystkie informacje dotyczące obu Komitetów Obywatelskich pochodzą z przygotowanej do druku w Wydawnictwie Łódzkim książki Stanisławy Mrozińskiej „Karabin i maska."**

Mimo to uruchamiano zdewastowane fabryki, zabiegano o dostawę surowców i paliw, organizowano aprowizację i zaprowadzano porządek. I chociaż istniała oczywista hierarchia ważności potrzeb, powoływano równocześnie do życia średnie i wyższe szkolnictwo wszystkich typów, realizowano zakrojony na szeroką skalę program pomocy społecznej i rozbudowywano społeczną służbę zdrowia.

Większość wymienionych zadań została urzeczywistniona w stopniu, który zdawał się przekraczać obiektywne możliwości ówczesnej Polski i ówczesnej Łodzi. Obok bowiem licznych braków materialnych występował niedostatek wszelkiego rodzaju specjalistów jako następstwo eksterminacyjnej i kulturobójczej działalności okupanta hitlerowskiego.

Główną jednak trudnością w dziele odbudowy miasta był fakt, że – szczególnie z początku – władze nie były w stanie dać pełnego ekwiwalentu ludziom pracy za ich działalność produkcyjną. **Stąd ogromnego znaczenia nabierał subiektywny stosunek wszystkich ludzi zatrudnionych w sektorze gospodarki uspołecznionej, ich zdolność i gotowość do wyrzeczeń, inspirowana u części przez ideały socjalistyczne, a u wszystkich przez uczucia patriotyzmu.**

Zarówno szeroki zakres planowanych zamierzeń jak i sposób ich urzeczywistnienia, zakładały wciągnięcie w orbitę czynnej działalności produkcyjnej i społecznej wielkich mas ludzkich. Tu jednak na przeszkodzie stały trudności natury politycznej. Złożyły się na nie tradycje historyczne, ale przede wszystkim bieżąca działalność reakcji, operującej brutalną przemocą i mitem „Londynu". Wroga propaganda grała na najniższych instynktach, uprzedzeniach i ignorancji, dyskontując każdy błąd lub potknięcie młodej władzy, zbijając kapitał polityczny na ówczesnych – z reguły – obiektywnych trudnościach gospodarczych. Jej celem było obalenie rewolucji, jej środkiem – próba izolowania czołowej siły narodu: **Polskiej Partii Robotniczej.**

Tym dążeniom Partia przeciwstawiała wypracowaną jeszcze w okresie okupacji politykę Frontu Narodowego, której program odpowiadał bieżącym i długofalowym aspiracjom społeczeństwa oraz polskiej racji stanu.

Istotnie, wokół patriotycznej i postępowej platformy skupiły się demokratyczne partie, które współuczestniczyły wraz z PPR w sprawowaniu władzy zarówno ustawodawczej (Krajowa Rada Narodowa) jak i wykonawczej (Rząd Tymczasowy). Koalicyjną formę rządów zastosowano również i w Łodzi, gdy naczelne władze miasta ukonstytuowały się w składzie: prezydent miasta Kazimierz Mijal (PPR), wiceprezydenci Eugeniusz Ajnenkiel (PPS), Stanisław Duniak (PPS) i Kazimierz Gallas (SD)). Jeszcze szersza reprezentacja demokratycznej części społeczeństwa Łodzi znalazła swe miejsce w Miejskiej Radzie Narodowej (marzec – kwiecień 1945 r.): 47 radnych z PPR, 36 z PPS, 20 z SD, 17 ze Związków Zawodowych, 14 ze Stronnictwa Ludowego, 3 z ZWM-u, po 1 radnym z OM TUR i TUR, po 3 radnych z Tymczasowego Komitetu Żydowskiego, Stowarzyszenia Więźniów Politycznych, Polskiego Związku b. więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, ZASP-u, Zw. Zawod. Literatów Polskich, Izby Rzemieślniczej, Zw. Gosp. Spółdzielni „Społem", Zw. Rewizyjnego Spółdzielni RP, Zw. Kupców i Przemysłowców, Kurii Biskupiej, Zw. Inwalidów Wojennych oraz Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości.

Jednak obok spraw zasadniczych, jednoczących wokół PPR różne odłamy społeczeństwa działały też interesy partykularne, konserwatywne tradycje, różnice poglądów dotyczące wielu zagadnień gospodarczych i politycznych a niekiedy i zwykła rywalizacja między stronnictwami i działaczami. Oczywiście, na wszystkich tych mniej lub bardziej ważnych różnicach usiłowały spekulować siły reakcji, zaś przeciwdziałanie tendencjom odśrodkowym w demokratycznej koalicji, wymagało wiele umiejętności i elastycznego postępowania ze strony Polskiej Partii Robotniczej.

Realizacja tej polityki była jednak niełatwa. Na przykład konieczność korzystania z współpracy specjalistów w dziedzinie gospodarki miejskiej, sądownictwa, szkolnictwa itd., należących do sojuszniczych partii, ale nie zawsze lojalnych wobec nowej władzy, hamowała sprawne funkcjonowanie mechanizmu ludowej dyktatury. I choć dziś wydawać się to może dziwnym, jednak w 1945 r. były sytuacje, kiedy PPR nie mogła bezpośrednio wpływać na niektóre sprawy publiczne.

Jeszcze w lipcu 1945 r., gdy wpływy PPR na całokształt życia politycznego Łodzi były bez porównania większe niż w styczniu, lutym tegoż roku, w środowisku partyjnym PPR były podnoszone charakterystyczne skargi:

— „Kasprzak: Nie posiadamy dostępu do Zjednoczeń i Likwidatury — tam właśnie gdzie jest największe bagno i gdzie powinni siedzieć partyjni. Krajewski: Także w Urzędzie Mieszkaniowym nie posiadamy posłuchu. Tatarkówna: Władze kolei nie pozwalają się rozwijać pracy partyjnej na terenie kolei. Krupiński: W związku z tym, że Radio Łódzkie sprzedaje w nielegalny sposób radioaparaty, proponuje przeprowadzić w tej sprawie dochodzenie. Pomimo, że posiadają 800 aparatów odmówiono nam przydzielenia 12 aparatów". (Na podstawie protokółu z Plenum KŁ PPR z 9 lipca 1945 r.)

Centralną sprawą od której zależała współpraca demokratycznej koalicji i polityka szerokiego Frontu Narodowego była wtedy **trwała jedność działania obu robotniczych partii oraz przodownicza w tym sojuszu rola PPR.** Jeżeli chodzi o ówczesną PPS, to przechodziła ona znamienną ewolucję, przekształcając się stopniowo z partii socjaldemokratycznej w partię zbliżoną do modelu partii leninowskiej.

Charakterystyczny pod tym względem był Okólnik nr 13, CKW PPS z 16 kwietnia 1945 r., który zalecał swym ogniwom organizacyjnym tworzenie na wzór PPR partyjnych komitetów fabrycznych PPS. Czytamy w nim między innymi:

— „(Przed wojną) Komitet Miejscowy (PPS) był organizacją, która składała się z ludzi ze sobą bliżej nie związanych ludzi, którzy stykali się raz w miesiącu, a może jeszcze rzadziej na zebraniu, wiecu, pochodzie lub manifestacji i znowu przez dłuższy okres czasu nie mieli ze sobą nic wspólnego...

Brak oparcia Partii (PPS) o Komitety Fabryczne spowodował, że organizacja nasza nie sięgała głęboko w masy, była powierzchowna, ulegała rozbiciu, rozłamom i w ciężkich chwilach, w okresie gwałtownego ataku faszyzmu, Partia stanęła na skraju przepaści bo nie miała podbudowy Partyjnych Komitetów Fabrycznych. Nie rozumiano wówczas tego, że Komitety Fabryczne skupiają ludzi związanych ze sobą nie tylko ideologią, ale codzienną pracą i codzienną walką, są trwałym fundamentem, który może zabezpieczyć Partii (PPS) jej masowość, prężność, siłę i dalszy rozwój..."

Mimo pozytywnych przemian, PPS podlegała ciągle jeszcze wpływom prawicowych tendencji, które podważały trwałość jednolitego frontu klasy robotniczej, a pośrednio zagrażały realizowanej przez PPR polityce Frontu Narodowego. Tak między innymi miały się sprawy i w Łodzi, gdzie część aktywu kierowniczego PPS podzielała opinie jednego z mówców, który 15 kwietnia 1945 r. oświadczył na zebraniu dzielnicy PPS Śródmieście Lewa: „... Partia nasza ma ambicje sięgać po władzę w Polsce i władzy raz zdobytej nie wypuści *)

Postawie takiej przeciwstawiała PPR cierpliwe i ciągnące się godzinami dyskusje i pertraktacje na terenie Komisji Porozumiewawczej oraz polityczne wsparcie okazywane coraz liczniejszym działaczom pepesowskiej lewicy, nade wszystko zaś oddolną codzienną współpracę podstawowych organizacji PPR i PPS.

Przeciwdziałanie pepesowskiej prawicy było jednak w dużym stopniu uzależnione od zlikwidowania przez PPR występujących tu i ówdzie w jej własnych szeregach nastrojów sekciarskich, które były przysłowiową wodą na młyn agitacji WRN-owskiej. Nie wyolbrzymiając tego problemu, należy jednak zauważyć, że w ciągu pierwszych miesięcy od wyzwolenia Łodzi, zarówno Komitet Miejski jak i Komitet Wojewódzki PPR poświęcały dużo uwagi walce z sekciarstwem. Nie mogło też być inaczej skoro zdarzały się tak krańcowe choć i sporadyczne przypadki jak ten, gdy jedna z działaczek PPR przemawiając 16 marca 1945 r. na zebraniu Dzielnicy Górna-Prawa wyraziła przekonanie, że PPS nie ma prawa zakładać swych organizacji partyjnych na terenie fabryk. **).

Ze względu na doniosłe znaczenie współpracy między PPR i PPS a także z powodu wspomnianych przeszkód, pod koniec pierwszego półrocza 1945 r. zaszła pilna konieczność poprawienia stosunków między obu partiami. Zanim jednak podjęto w tej sprawie odpowiednie decyzje na majowym Plenum KC PPR, kierownictwo Wojewódzkiego Komitetu PPR w Łodzi starało się ożywić współpracę z łódzką organizacją PPS, koncentrując swe wysiłki nad przygotowaniem masowej, jednolitofrontowej demonstracji pierwszomajowej. Starania te dały pozytywne rezultaty, tak, że jeden z mówców przemawiających na Plenum KŁ PPR w dniu 11 maja 1945 roku mógł powiedzieć: „... 9 maja w **Dniu Zwycięstwa czekaliśmy z cała dzielnica na pochód pepesowski aby wspólnie pójść na plac Wolności. Przy spotkaniu z nami sekretarz dzielnicy PPS serdecznie się z nami wycałował..."**

W pierwszej dekadzie maja 1945 roku odbyła się w Komitecie Centralnym PPR narada, **na której zajęto się sprawami ścisłej współpracy między PPR i innymi stronnictwami demokratycznymi.** W ślad za tym, 12 maja 1945 r. odbyło się posiedzenie Egzekutywy KW PPR w Łodzi poświęcone wyłącznie problematyce stosunków między PPR i PPS, a w kilka dni później — 17 maja 1945 r. posiedzenie KW PPR, które zajęło się sprawą Frontu Narodowego. W dniach 20—21 maja odbyło się Plenum KC PPR, a między 27—28 maja Krajowa Konferencja Partyjna PPR, na której postanowiono wypowiedzieć nieubłaganą walkę wszelkim przejawom sekciarstwa.

Bezpośrednim rezultatem podjętych tam uchwał była wspólna narada aktywu PPR i PPS w Łodzi w dniu 6 czerwca 1945 roku. Zapoczątkowała ona okres lepszej współpracy między obu partiami i choć w późniejszych miesiącach, a nawet do samego zjednoczenia ruchu robotniczego, współdziałanie to nie było wolne od tarć, to przecież odegrało ono niezmiernie ważną rolę w późniejszym odpieraniu ataków PSL, dążącego do wzięcia władzy i zmiany ustroju Polski.

ADAM LEŚNIEWSKI

***) Archiwum Komitetu Łódzkiego PZPR, Teczka DK PPS Łódź-Śródmieście, 28 (VII) 2.**

****) Archiwum Komitetu Łódzkiego PZPR, Protokół z posiedzenia Komitetu Dzielnicowego PPR Górna-Prawa, 1 (VI) 63.**

ŁÓDZKIE XX-LECIE

PARK STAROMIEJSKI

MYŚL: Teren obecnego parku jest kolebką miasta. Tu leżała osada, z której powstała Łódź. Do drugiej wojny światowej teren był gęsto zabudowany i zamieszkały przez ubogą ludność żydowską. W czasie okupacji hitlerowcy utworzyli tu getto. W latach 1951—53 park oddano do użytku.

DANE: Powierzchnia — 18 hektarów. Ponieważ odstąpiono od pierwszego założenia, według którego park Staromiejski miał być miejscem zabaw ludowych i manifestacji — w latach 1954—55 przebudowano go, sadząc 138 nowych drzew, głównie kasztanowców.

ANALOGIE: W 1938 roku obszar zieleni miejskiej wynosił w Łodzi — 679 hektarów, co dawało ok. 10 m² na 1 mieszkańca. W roku 1960 — obszar zieleni miejskiej był trzykrotnie większy, wynosił bowiem ponad 2.100 hektarów, co daje ok. 30 m² na jednego mieszkańca Łodzi.

PROJEKTANT: inż. K. Chrabelski.

Rys. inż. **JAKUB MAJERSKI**

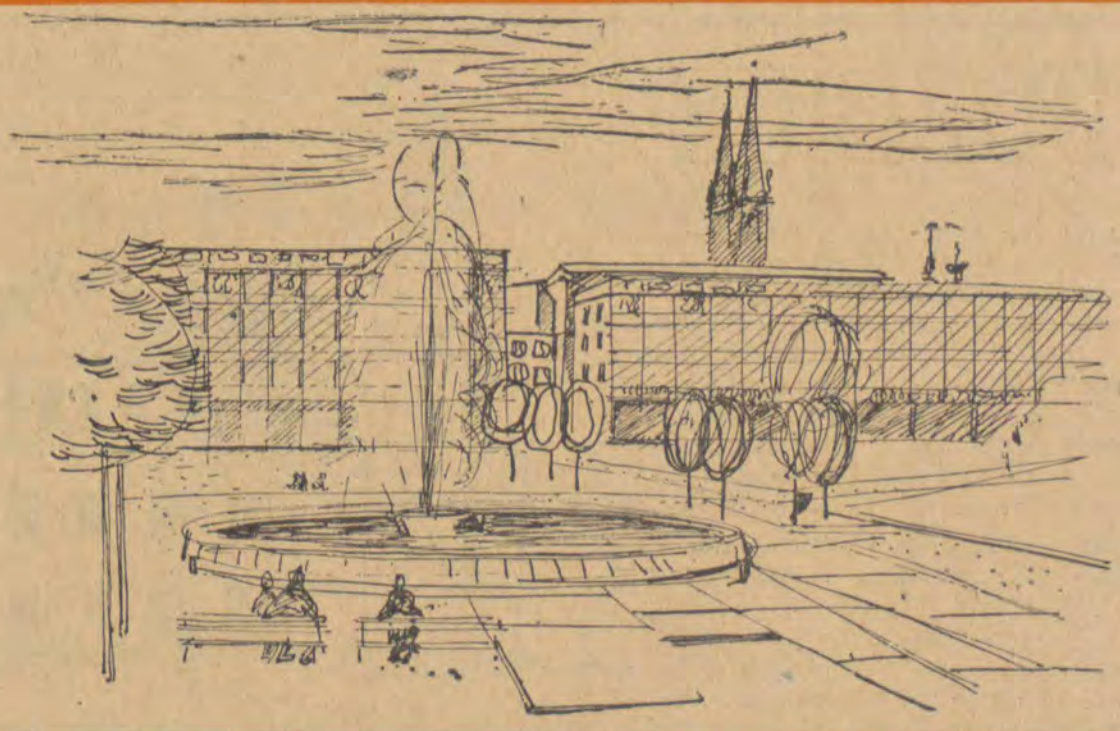

Fot. K. Jarochowski

Siedemdziesięciu z ŁĘKAWY

12 LIPCA 1964 ROKU ODBYŁO SIĘ OTWARCIE WIELKIEGO ZLOTU MŁODZIEŻY POLSKIEJ, 24 TYSIĄCE MŁODYCH LUDZI PRZEBYWA NA KILKUDZIESIĘCIU OBOZACH ZLOTOWYCH. W WOJEWÓDZTWIE ŁÓDZKIM OBOZY TAKIE ZORGANIZOWANO MIĘDZY INNYMI W SULEJOWIE, WIŚNIOWEJ GÓRZE, W RAWCE KOŁO SKIERNIEWIC, W ŁĘKAWIE KOŁO BEŁCHATOWA...

Do Łękawy przyjechało któregoś dnia dwóch przedstawicieli Biura Prasowego Komitetu Zlotowego z Warszawy. Kiedy już wszystko obejrzeli, popatrzyli w swoją listę — a na liście obozów zlotowych tego właśnie obozu wcale nie było. Papiery na czas nie doszły, czy co — grunt, że w Biurze Prasowym o Łękawie nikt nie wiedział.

— Jakeście tu trafili? — pytają.

— Przejeżdżaliśmy przez Bełchatów, w Bełchatowie ludzie na ulicy powiedzieli. Znają was, widać w okolicy.

Ale najpierw przyjmowali ich nieufnie. W Zawadowie, w Wólce Łękawskiej, w Łękawie, w Piaskach i w Augustowie ziemia, uboga, gospodarstwa skromne, chałupy przygarbione ku ziemi. Murowanej prawie nie zobaczysz — dachy słomą kryte, a i słoma często przegniła. Paru chłopów pracuje w Bełchatowskich ZPB, dwie — trzy osoby na Śląsk wyjechały, do fabryk. Reszta jak przed laty, na roli. Jak przed laty, podstawowym posiłkiem są kluchy i kartofle, mięso tylko od wielkiego święta. Do lekarza — do Grocholic trzy kilometry, do Bełchatowa siedem. Jeden z najuboższych okręgów rolniczych Polski.

Jedzie drabiniastym wozem gospodarz z Zawadowa — i nie wie może o tym, że w Bełchatowie, w Łodzi i w Warszawie myśli teraz o nim kilkunastu inżynierów i ekonomistów. Bo już za rok, za dwa, za trzy rozpocznie się wielki przełom: INDUSTRIALIZACJA.

Dla niego, dla gospodarza z Zawadowa industrializacja oznacza: zupełną zmianę struktury ekonomiczno-społecznej. Pracę w Bełchatowskim Okręgu Przemysłowym. Sieć nowych dróg, przebudowę wsi. Powstanie placówek usługowo-handlowych. Zmianę sposobu odżywiania, trybu życia. Zmiany w stosunkach społecznych, rodzinnych, a nawet — towarzyskich. Skuteczną walkę z niektórymi chorobami: z krzywicą, z próchnicą zębów, awitaminozą. Wzrost higieny osobistej, profilaktykę.

Ale: większą zapadalność na niektóre choroby charakterystyczne dla cywilizacji przemysłowej — cukrzycę, choroby psychiczne, choroby układu krążenia.

Gospodarz z Zawadowa słyszał, oczywiście o oczekującej go rewolucji. Słyszał o Bełchatowskim Zagłębiu. Nie w pełni zdaje sobie jednak sprawę z tego, co ono dla niego oznacza.

Dla nauki są to sprawy pasjonujące. Istnieje oto możliwość dokładnego prześledzenia całego procesu zmian ekonomiczno-społeczno-kulturalno-zdrowotnych. Jaki jest wpływ gwałtownie przebiegającego uprzemysłowienia na ludność zaniedbanych dotychczas okręgów rolniczych? Jakie stąd płyną wnioski na przyszłość? Jak trzeba owo uprzemysłowienie planować? Które placówki organizować w pierwszym rzędzie, jak nimi kierować?

A rzecz dotyczy nie tylko Bełchatowa — także Konina i Płocka, także Turoszowa i Działoszyna, także wszystkich tych wsi i miasteczek, które nasze 20-lecie wyrwało z wielowiekowego snu.

Tak zrodził się pomysł „Akcji — Bełchatów". Pomysł zetemesowców z łódzkiej Akademii Medycznej.

Myliłby się ten, kto by sądził, że przyjechali odpoczywać w tej „Łękawie — Zdroju". Siódma rano — pobudka. Gimnastyka, apel, śniadanie, o 8 wyjazd ekip na wieś. Stała formułka powitania jest taka: „Dzień dobry, jesteśmy lekarzami, czy państwo macie dzieci do lat czternastu?"

Czasem się okazuje, że tych dzieci nie ma. W spisie były — a w rzeczywistości nie ma. Zagubiły się, czy co u licha?

A to tylko chytry gospodarz dzieciaki poukrywał. Po pierwsze — nie wiadomo czy się od tych badań nie pochorują. Po drugie — czasu szkoda, dzieciak może bydło paść albo jagody zbierać.

Zaufanie dzieci zdobywano starą jak świat metodą: cukierkami. Przyjaźń dorosłych zrodziła się po udzieleniu iluś tam porad lekarskich, po wykonaniu iluś tam zabiegów i ofiarowaniu iluś tam porcji leków. Kiedy 70-osobowy obóz naukowo-społeczny ZMS Akademii Medycznej w Łodzi (wraz z kilkunastoma pracownikami naukowymi oddelegowanymi z klinik uczelni) przybyło do Łękawy, kiedy otworzono zaopatrzone w nowoczesną aparaturę pracownie i gabinety lekarskie, kiedy rozpoczęły się stałe dyżury pediatry, internisty, chirurga i stomatologa — do obozu przyszły pierwsze czujki.

— A ile to u was kosztuje lekarz?

— Ano bezpłatnie. — Jak to może być bezpłatnie? Jajek może czy też mleka przynieść? Albo: — Jak pan doktór dobry zastrzyk zrobi, to tam kurka się znajdzie, na wozie trzymam.

Do dnia 10 lipca wyrwano 93 zęby a wyleczono 62. Internista zbadał 93 pacjentów dorosłych. Wykryto u dzieci szereg przypadków nieleczonego kokluszu i krzywicy. Teraz przed obozem stoi codziennie rząd drabiniastych wozów, a jak studenci idą przez wieś, to mówią do nich: — Dzień dobry państwu lekarzom, kiedy to tam do was można przyjść?

Ale wróćmy do dzieci. 550 dzieci z pięciu wsi zostanie wszechstronnie i dokładnie przebadanych. Zbadany zostanie ich aktualny stan zdrowia, warunki domowe, sposób żywienia, higiena życia codziennego, rozwój fizyczny i psychiczny. Część skomplikowanych badań przeprowadza się na miejscu (zawartość hemoglobiny we krwi, robaczyca, badania układu kostnego, fluozescencja języka), do innych przyjedzie ruchomy ambulans rentgenowski. Jednocześnie w laboratorium bada się poziom żelaza i fluoru we wszystkich studniach. Głównie bowiem chodzi o prześledzenie dwóch zagadnień: niedokrwistości, niedobarwliwej u dzieci oraz próchnicy zębów. Istnieje niewątpliwy związek pomiędzy niedokrwistością, a sposobem odżywiania, pomiędzy niską zawartością fluoru w wodzie pitnej a próchnicą zębów. Chodzi o uchwycenie tych zależności. Takie zadania opracowano dla „Akcji — Bełchatów" w zakładach i klinikach AM. Kiedy rozpocznie się wielka industrializacja — lekarze, dietetycy i higieniści będą wiedzieli „od czego zacząć". Na podstawie tych badań, systematycznie i długofalowo prowadzonych, będzie też można prześledzić dokładnie wpływ uprzemysłowienia na strukturę zdrowotną ludności.

Te wielokartkowe ankiety, pracowicie wypełniane codziennie przez studenckie ekipy, staną się więc podstawą i dla działalności praktycznej i naukowej. — Medycyna wiejska — mówi kierownik naukowy obozu, doc. dr Zbigniew Janczuk — znajduje się jeszcze u nas w powijakach. Te bogate materiały posłużą za temat niejednej pracy naukowej — między innymi w Lublinie, jesienią, podczas studenckiego sympozjum poświęconego zdrowiu na wsi.

Wieczorem, rzecz jasna w Łękawie przychodzi pora odpoczynku. Kierownicy obozu — kol. kol. Jan Taczalski i Stanisław Dyla z dumą pokazują boisko sportowe, biblioteczkę, adapter, nawet telewizor. W programie obozu jest jeszcze wspólny koncert dla okolicznej ludności i pożegnalne ognisko. Wieczorami co bardziej zapaleni rozgrywają turnieje brydżowe, zgaduj-zgadule wyłoniły już „mister intelektu" oraz najlepszego mister („Cycero wystąp!").

21 LIPCA UCZESTNICY OBOZU UDADZĄ SIĘ NA ZLOT DO WARSZAWY. SWOJE WIELKIE MŁODZIEŻOWE ŚWIĘTO UCZCILI TRZEMA TYGODNIAMI UCZCIWEJ I POŻYTECZNEJ PRACY, TRZEMA TYGODNIAMI PODCZAS KTÓRYCH ZDOBYLI ZAUFANIE LUDNOŚCI, NIEŚLI JEJ POMOC, UCZYLI SIĘ SAMI.

TAKIM CZYNEM POWITAJĄ DZIEŃ 22 LIPCA.

ALINA GRABOWSKA

PODDĘBICE

DOJAZD: Autobusem PKS z dworca Fabrycznego. Godzina 6.00 (pośpieszny — cena biletu 16 zł 80 gr), 5.40, 6.30, (zwykłe — cena biletu 14 zł 40 gr). Kasy „Orbisu" sprzedają bilety już na siedem dni przed wyjazdem.

CO OBEJRZEĆ: renesansowe zabytki; kościół z początków XVII wieku i pałac z wieku XVI, rozbudowany w wieku XVIII i XIX. W odległości półtora kilometra na południe od Poddębic — miejscowość Byczyna (kąpielisko, plaża).

GDZIE ZJEŚĆ: przy Rynku dwie restauracje Gminnej Spółdzielni — „Bar nad Nerem" i „Bar turystyczny".

HISTORIA: miasto założono w 1815 roku. Potem spadło do rzędu osad i po raz drugi uzyskało prawa miejskie w 1934 roku. Dziś jest stolicą powiatu i liczy ponad 4 000 mieszkańców.

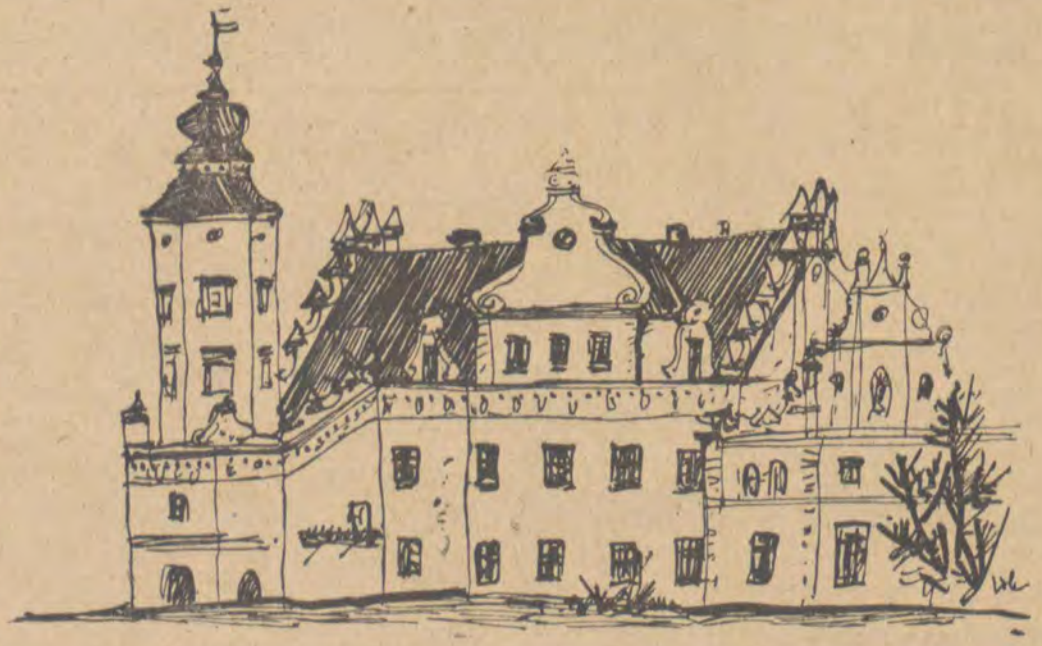

Notatki na marginesie

WIDMA NA ZAWOŁANIE

Upiory są największą atrakcją dla turystów, zwiedzających w tym roku Anglię. Brytyjskie Towarzystwo Turystyczne sporządziło szczegółową listę zamków i starych domostw, w których „straszy". Lista obejmuje również historię duchów oraz daty, w których nawiedzają one wymienione obiekty. Tak więc, turyści, zwiedzający np. Londyn, mają szansę zobaczyć widmo starego kasjera, który snuje się po korytarzach Banku angielskiego, widmo lorda Hallanda, który — trzymając pod pachą własną głowę — przechadza się wolno po komnatach zamku Halland House, starego księdza, który straszy w katedrze Saint-Paul. Najwięcej jednak emocji dostarczy turystom słynna wieża londyńska z całym mnóstwem widm i upiorów, różnej płci i wieku, które krążą każdej nocy. Punktualnie od godz. 24 wg czasu Greenwich...

BACON NIE BYŁ SZEKSPIREM

Brytyjski profesor matematyki oświadczył niedawno bardzo kategorycznie, iż na podstawie nader skomplikowanych obliczeń, wykonanych na maszynie elektronowej, rozwiązał wreszcie wielką zagadkę literatury: rodowód dzieł Szekspira. Sąd jest ostateczny i nie podlega dyskusji: „Na pewno nie napisał ich Bacon!". Odwracając sąd profesora, można stwierdzić bez trudu, że Szekspir na pewno nie napisał dzieł Bacona...

PIJANE DROZDY

Pracownicy amerykańskiego instytutu zdrowia publicznego w Waszyngtonie zostali zaalarmowani wielką liczbą martwych drozdów, które wprost zaścielały murawy jednej z dzielnic stolicy USA. Czyżby zatrucie jakąś gwałtownie działającą trucizną? Może wyjątkowo zjadliwy wirus? Analiza laboratoryjna dała sensacyjne wynik: drozdy zginęły w wypadkach powietrznych — zderzając się podczas lotu — spowodowanych pijaństwem! Wydziobywały one wczesne jabłka, które, w nocy marznąc, a w dzień odmarzając, uległy procesom fermentacji i następnie wydzielały drobne ilości alkoholu, którym upiły się ptaki...

CZUŁY BAROMETR

Rewelacja z „Observera": „Dochody z publicznych ubikacji, na które nie ma wpływu zły czy dobry los jednostki, są najczulszym barometrem, którym mierzymy ilość turystów, zwiedzających nasze miasto" — oświadczył korespondent prasowy z m. Scarborough....

MILIARD DOLARÓW ODSZKODOWANIA

Fabrykant w Oklahoma City, Woodrow Bussey, wytacza proces prezydentowi Johnsonowi, żądając od niego ponad miliard dolarów odszkodowania. W. Bussey oskarża prezydenta Stanów Zjednoczonych „o niedbałość, lekceważenie niebezpieczeństwa i twarde serce", a to dlatego, iż zezwolił na dokonywanie nad Oklahoma City prób przekroczenia bariery dźwięku. Bussey żąda 1.001.250.000 dolarów odszkodowania za straty moralne i fizyczne, które poniósł on i jego pięcioletnia córka...

WYBUCH NA SŁOŃCU

Astronomowie z obserwatorium w Taszkiencie sfotografowali wybuch, umiejscowiony blisko centrum rysunku słońca. Jest to już trzecia z kolei erupcja słoneczna sfotografowana w obserwatorium taszkienckim od stycznia br.

ŻYCIE NA INNYCH PLANETACH?

Uczeni kanadyjscy: dr G. W. Hodgson i M. B. L. Baker utrzymują, że życie istnieje i na innych planetach. We fragmencie meteorytu, który sto lat temu spadł we Francji, znaleźli ślady węgla, co pozwala sądzić, iż na ciele niebieskim, z którego meteoryt pochodzi, egzystuje roślinność...

Na trasie „WOSTOK"-„MIRNY"

ANTARKTYDA. Najbardziej niegościnna kraina na świecie, gdzie temperatury dochodzą do minus 90° C. Ogromny kontynent, półtora raza większy od Europy, usiany paradoksalnie wielką ilością wulkanów, skuty lodami przez okrągłe 10 miesięcy w roku, omiatany straszliwym wichrem, który z szybkością 200 km na godzinę przenosi z miejsca na miejsce masy sypkiego śniegu i drobnych kryształków lodu.

Uczonych całego świata interesują przede wszystkim antarktyczne lodowce, których grubość, w masywie centralnym, dochodzi do 3 kilometrów. Odgrywają one zasadniczą rolę w kształtowaniu stanów meteorologicznych w skali całego świata oraz wywierają ogromny wpływ na struktury klimatologiczne, gdyż Antarktyda magazynuje 90 procent zapasów wody naszej planety.

Czy zapasy te zwiększają się, czy zmniejszają? Pytanie bardzo istotne, bo zważmy, że gdyby lodowce Antarktydy zaczęły topnieć z dnia na dzień, poziom wód oceanów podniósłby się o 80 metrów! Skutki takiego kataklizmu łatwo przewidzieć.

Odpowiedzi na to pytanie szuka IX radziecka ekspedycja antarktyczna, którą kieruje znany specjalista radziecki Samow. W grudniu 1963 roku ekspedycja, w drodze na Antarktydę, zawinęła do portu w Hawrze, gdzie przyjęła na pokład 5-osobową grupę francuskiej ekspedycji polarnej. Uczeni obu ekspedycji — radziecka liczy 15 osób — przeprowadzą szeroko zakrojony zwiad glacjologiczny na trasie radzieckich stacji polarnych na Antarktydzie: „Wostok" — „Mirny". Zwiadem kieruje światowej sławy glacjolog radziecki Piotr Szumski, zaś jego asystentem jest glacjolog francuski inż. Albert Bauer, wykładowca Wyższej Szkoły Inżynieryjnej w Sztrasburgu, przydzielony do wspomnianej już francuskiej ekspedycji polarnej. On też jest autorem interesujących notatek z rajdu „Wostok — Mirny". Część z nich zamieszczamy poniżej.

* * *

... I tak oto po trzech tygodniach pobytu w „Wostoku" nadszedł wielki dzień podróży w głąb lodowej pustyni. Pamiętam, jak samolot lekko spłynął na śnieg i zostawił nas samych przed małym domkiem, zagubionym w bezkresie bieli. Mdłe słońce stało nisko nad horyzontem. Gasło krótkie, antarktyczne lato. Już wkrótce długa polarna noc otuli „Wostok", tę maleńką pustelnię, rzuconą gdzieś na sam koniec świata. Tutaj kilkunastu ludzi spędzi cały, długi rok.

Gdy przybyliśmy tutaj było ciepło: minus 35 stop. C. Teraz, systematycznie każdego wieczoru, temperatura spada o 1 lub 2 stopnie. Dziś mamy minus 46 stop. C. „Wostok" jest „biegunem zimna", najbardziej chłodnym punktem na kuli ziemskiej. Średnia roczna temperatury wynosi tu minus 60 stop. C. Najniższa temperatura, jaką na „Wostoku" zanotowano wynosiła minus 90 stop. C!. Ale wracam do rzeczy. Dziś udajemy się w dalszą drogę.

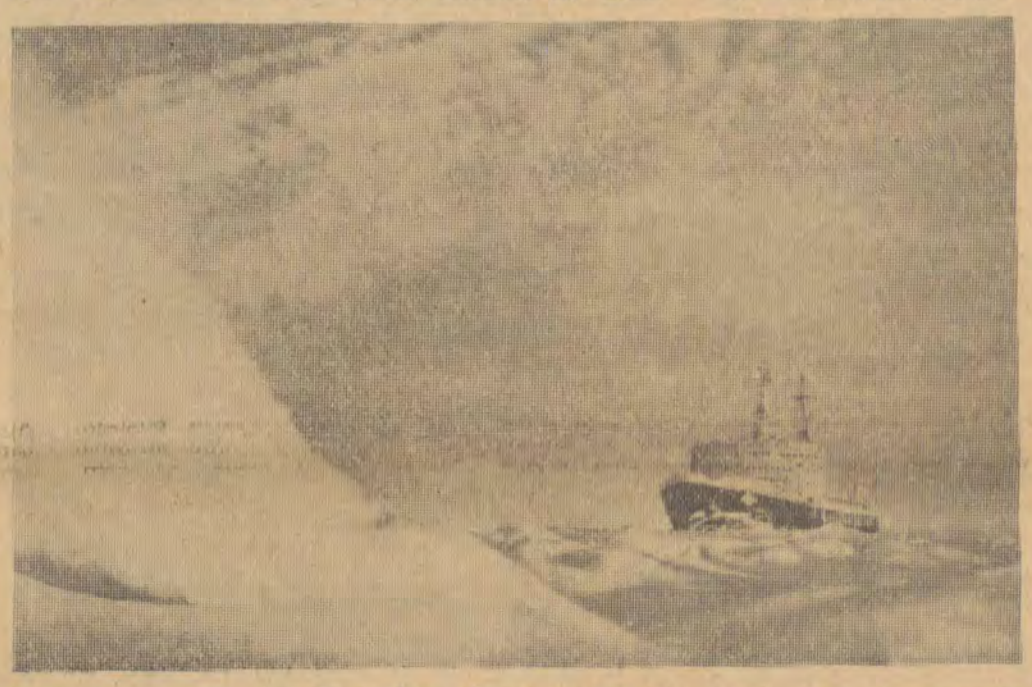

I mimo zimy i przeraźliwego chłodu jest nam ciepło na duszy. Ogrzewa nas ciepło koleżeństwa i przyjaźni kolegów radzieckich, zrodzone ze wspólnych trudów i przeżyć. Nasi rosyjscy towarzysze z załogi „Wostoka" przygotowali dla nas pożegnalny obiad: jest, oczywiście wódka, są zakąski, wyśmienita zupa, kurczaki (tak!). Z początku było trochę uroczyście, ale później posypały się toasty, a jeszcze później śpiewaliśmy piosenki francuskie i rosyjskie. Każdy z nas otrzymał prezent. Byliśmy wzruszeni tą szczerą serdecznością. Wybiła jedenasta w nocy. 50 stopni mrozu. Wszyscy wyszliśmy przed dom stacji i skierowaliśmy się do naszych 9 traktorów, wyciągniętych w jedną linię, o jakieś 300 metrów od zabudowań „Wostoka". Nasi radzieccy koledzy chcieli koniecznie mieć „familijne zdjęcia", które mogliby pokazać rodzinom w Kijowie, Moskwie czy Leningradzie. Minęła już północ, kiedy żegnani salutem sztucznych ogni ruszyliśmy w kierunku „Mirnego". 400 km do stacji pośredniej, na trasie do „Mirnego"! Na „Wostoku", który leży na wysokości 3600 m nad p. m. przeszliśmy konieczną tu aklimatyzację.

20 LUTEGO

Dziś mieliśmy trochę kłopotu z traktorami. Stanęliśmy w zaspach, później ruszyliśmy i znów postój. W jednym z traktorów spadła gąsienica. Jakże wspaniali, mocni są nasi traktorzyści. Nie tylko kierują tym ogromnym pojazdem o wadze 34 ton, po 10, 12 godzin na dobę, lecz również reperują je pod gołym antarktycznym niebem, często przy temperaturze minus 50—60 stopni C.

Na postojach, śmiech powiedzieć, dokucza nam... gorąco. Mieszkamy, że użyję tego określenia — w kabinach kierowców. Są to pomieszczenia skromne co prawda, ale świetnie izolowane od wpływów zewnętrznych i zaopatrzone w solidne piece węglowe. Brudzi to, dymi, ale jak grzeje! Termometr wskazuje plus 40—45 stop. C.

W nocy jednak budzi nas często chłód, gdyż piece wygasają i temperatura spada do minus 10 lub 20 stop. C. Nasi rosyjscy koledzy żartują z nas, nazywając nas „wybrednymi". Nic dziwnego — sami pracują na zewnątrz przy temperaturze minus 50 stop. C.

1 MARCA

3 rano. Wychodzimy z traktorów. To już „Komsomolskaja" — stacja naukowa Międzynarodowego Roku Geofizycznego. Ok. 1000 km w głębi antarktycznego kontynentu. Jest to rodzaj domku zagrzebanego w śniegu. Po schodkach wykutych w lodzie schodzimy w dół, i oto spotykamy się z 2-osobową radziecką załogą stacji. Czekali na nas. Stół zastawiony, witają nas serdecznie. Czyniąc zadość północnym obyczajom bierzemy kąpiel w „saunie". Jest to nasza pierwsza toaleta od 15 dni.

„Komsomolskaja" jest rzadko odwiedzana. W lecie przylatują tu samoloty, utrzymujące łączność powietrzną między „Wostokiem" i „Mirnym". Lotnicy obsługujący tę trasę tworzą specyficzną grupę ludzi, a ich moralne i zawodowe kwalifikacje są wręcz fantastycznie wysokie. Przelot z „Wostoku" do „Mirnego" trwa 12 godzin, a 12 godzin lotu w warunkach Antarktyki — to szalenie dużo. Ponadto, hangarów nie ma, wszystkie przygotowania do lotów oraz naprawy odbywają się pod gołym niebem, przy temperaturze rzędu: 40, 50, 60 stop. poniżej zera. „Ojcem" lotnictwa polarnego jest słynny Borys Aleksiejewicz Minkow. To on właśnie kilka lat temu, pewnej piekielnie zimnej, zimowej nocy wylądował w „Wostoku", żeby zabrać stamtąd doprawdy niecodziennego pacjenta: lekarza stacji, który sam sobie zrobił operację na wyrostek robaczkowy...

5 MARCA

Utrudniony odjazd z „Komsomolskiej". Strasznie zimno. Trasa ciężka.

10 MARCA

Od dwóch dni szaleje burza śnieżna. Defekty w motorach. Widoczność zero. Robimy postój. Wolny czas wykorzystujemy na drobne naprawy. Atrakcję stanowią przeloty samolotów, jesteśmy bowiem na trasie „Wostok" — „Mirny" Za pomocą radia rozmawiamy z pilotem i stąd wiemy, co się dzieje na świecie.

16 MARCA

Spoglądamy beznadziejnie w niebo. Od wczoraj nie mamy już węgla. Jak na złość temperatura spadła do minus 58 stop. C. Trzeba uważać na odmrożenia. Mimo wszystko chłód znosimy znośnie, bo ekwipunek mamy dobry. Szokująca niespodzianka: samolot zrzuca nam pocztę z Francji! Jednak stale bez węgla. Rekordowy ziąb: minus 69 stop. C. Wkrótce ruszamy".

FELIETON Z OGÓRKIEM

W prasie codziennej pojawiły się już wzmianki o wężu morskim, w teatrze przy komplecie widowni idzie „Ania z Zielonego Wzgórza", w zapowiedziach literackich same rewelacje (w nagrodę za półroczne opóźnienie rewelacji zapowiedzianych w styczniu) — wszystkie te wypróbowane metody zwiastują uroczyste otwarcie kanikuły. Kanikuła zaś zwalnia jakoby od normalnych obowiązków i zezwala na drobne odstępstwa od przyjętego trybu postępowania. Wszystkim wiadomo, co składa się na tryb postępowania felietonisty czy recenzenta telewizyjnego. Oczywiście systematyczne, programowe potępianie tego, co płynie jako obraz i jako dźwięk z odbiornika telewizyjnego. Recenzent ubrany w szaty sumienia społecznego musi rejestrować większe i mniejsze przewinienia telewizji, by sprostać ogromnym zaiste zadaniom wychowawcy. Jego dydaktyka musi gromić efekty pracy reżyserów, aktorów, kamerzystów, redaktorów, by udowodnić ludziom telewizji, że ich poczynania nie są bezkarne i że telewidzowie nie są niemym tłumem.

Ale skoro wakacje pozwalają na rozluźnienie rygoru, skoro rygorów nie przestrzega telewizja, czemu na odrobinę swobody nie miałby pozwolić sobie recenzent?

Tym razem więc nie będzie wypominania potknięć, zasadniczych i drobnych. Wprawdzie mistrz Hitchcock twierdzi, że z telewizją jest tak jak z rewolwerem (wszystko zależy od tego, z której strony lufy się stoi), dziś jednak wspaniałomyślnie nie będziemy celować w stronę ekranu. Nasze a rebours będzie polegać na czym innym. Spróbujemy raz na zawsze porachować się z widzami.

Mało kto chyba zdaje sobie sprawę, że w każdym odbiorcy programów telewizji drzemie reformator. Człowiek, który, gdyby mógł, zmieniłby wszystko tak, by nareszcie było dobrze. Człowiek z jasną i jedynie słuszną koncepcją. Wprawdzie przez pierwsze cztery godziny posłusznie ogląda proponowane audycje, ale pod koniec piątej widzi, że sprawy źle się mają. Siada zatem do pisania. Jego elaboraty zaś, zmuszają dyrekcję telewizji do utworzenia kilku nowych etatów w redakcji studiów i oceny programów. W ten sposób powstaje w łonie telewizji nowa, wcale poważna instytucja, która zajmuje się tylko odbiorem korespondencji. I nie może się uskarżać na brak zajęcia, skoro w okresie od 8 marca do 7 kwietnia 1964 r. przeczytała 280 listów. Wszystkie te epistoły oczywiście mają ambicję właściwego osądzenia audycji telewizyjnych. Jaki jest wynik tego sądu dla telewizji? No cóż, trzeba powiedzieć szczerze: tylko w 41 listach znalazły się pozytywne oceny programu. Reszta wnikliwych obserwacji zdąża do całkowitego zreformowania, przetworzenia, wyrugowania, przyswojenia i uwzględnienia.

Bardzo różne postulaty mają telewidzowie: chcą prawdziwej sztuki zamiast operetek i operetek zamiast przedstawień teatralnych. Domagają się gimnastyki porannej o szóstej rano i prawdziwego ciepła w głosie spikerki mówiącej „dobranoc". Uważają za właściwe wprowadzenie kursu języków obcych i stwierdzają, że nauka języka to domena radia, a nie telewizji. Żądają kategorycznie, by w przerwach między programami pokazywać krajobrazy i twierdzą stanowczo, że dość landszaftów między audycjami. Sugerują taktownie większą ilość transmisji sportowych i ostro sprzeciwiają się faworyzowaniu zainteresowań kibiców sportowych. Słowem nie ma pozycji repertuarowej, która uszłaby uwadze wnikliwego telewidza. Wszystko zostaje właściwie wymierzone, właściwie według jedynie słusznej koncepcji każdego obserwatora. Zjawisko masowego wysyłania listów nie kryje w sobie nic zadziwiającego. Refleksje na papierze są z pewnością próbą rekompensaty za wielogodzinną bierność przy odbiorniku.

Gorzej już z telewizją. Trudno uwierzyć, by mogła ona realizować zasadę korygowania swoich programów przy pomocy głosu opinii publicznej. Co więc pozostaje? Na razie chyba tylko rejestrować statystycznie w rubrykach — pozytywnie — negatywnie — neutralnie. A czasem brać pod uwagę.

MIKS

ŁODZIANIE Podróżują

EDWARD NIEWIADOMSKI

— Zadzwonił do nas inżynier Ch., mówił, że chętnie czyta Pan nasze wywiady w „Odgłosach".

— Pewnie powiedział również, że byłem kiedyś w Zanzibarze?

— Tak. A czy zechce Pan wobec tego opowiedzieć Czytelnikom „Odgłosów" o tej wyspie, która w ostatnich miesiącach była jednym z ciekawszych tematów prasowych publikacji?

— Kiedy siedziałem w Zanzibarze, wyspa żyła życiem raczej ustabilizowanym. Rozruchy polityczne zaczęły się właśnie przed kilku miesiącami. A z jakiego powodu, to chyba nie trzeba przypominać, bo pisała o tym szczegółowo nasza prasa codzienna. Dla mnie w każdym razie nie było w owych rozruchach nic nieoczekiwanego. Zanzibarem od dawien dawna chciał rządzić sam Zanzibar. Historia Zanzibaru jest bardzo długa i szalenie skomplikowana. Wyspę zajęli Arabowie i założyli tam swoje cesarstwo. Około roku 1500 Portugalczycy wyrzucili z Zanzibaru Arabów, a po upływie dwóch wieków Arabowie — Portugalczyków. I wówczas to Zanzibar stał się miejscem najohydniejszego handlu — handlu niewolnikami. Czarnego człowieka można było kupić za ćwierć ceny uzyskanej ze sprzedaży zwierzęcia domowego. Dziś w Zanzibarze niewolnictwa już nie ma, ale żyje jeszcze podobno kilku bardzo starych ludzi, którzy w dawnych latach byli „najtańszym towarem".

— Każdemu człowiekowi, który jako tako interesuje się geografią, Zanzibar kojarzy się natychmiast z bardzo przyjemnym aromatem.

— Goździki. Zanzibar jest wyspą ze wszystkich chyba w świecie najbardziej „aromatyczną". Rośnie tam około miliona drzew goździkowych. Goździki korzenne są podstawą egzystencji mieszkańców wyspy. Goździki z Zanzibaru kroi się m. in. bardzo drobniutko i dodaje do tytoniu. Tak powstają aromatyczne, ale dość drogie papierosy. Z pni drzew goździkowych wydobywa się sok, który służy do wyrobu sztucznej wanilii. Właścicielami plantacji drzew goździkowych jest arystokracja Zanzibaru — Arabowie. Afrykanie natomiast uprawiają rolę, a Hindusi zajmują się handlem, prawie wyłącznie drobnym.

— Jakie ogólne wrażenie po przyjeździe na wyspę?

— Początkowo człowiek jest nieco zaszokowany. Bardzo wąskie ulice, wydaje się, nie pozwolą zrobić kroku między domami. Domy stare, ale za to z ogromnymi drzwiami bogato rzeźbionymi i obowiązkowo okutymi żelazem. Zastanawiałem się niejednokrotnie, czy przypadkiem zanzibarskich domów nie buduje się wyłącznie dla tych okazałych drzwi...

— Pewien słynny, amerykański podróżnik pisał w którejś ze swoich książek, że Zanzibar jest krajem tylko dla mieszkańców wyspy, że ani Europejczyk, ani żaden człowiek z innego kontynentu nie może tam żyć. To prawda?

— O, chyba tak. Na pewnej uroczystości rodzinnej u moich znajomych. Anglików zamieszkałych wówczas czasowo w Zanzibarze spotkałem Arabkę, damę zaprzyjaźnioną z sułtanem, opowiadała mi o grupie młodych Europejczyków, którzy przyjechali do Zanzibaru napisać książkę. Uciekli po upływie dwóch miesięcy. Mówili, że wpadli w obsesję stałego „usychania". Podobnie zresztą słynna i piękna Rita Hayworth — była żona Ali Khana. Raz jeden odwiedziła swojego teścia — Age Khana i wyjechała z Zanzibaru mówiąc przy tym, że wyspa jest tysiąckroć bardziej męcząca, niż Hollywood.

Rozmawiała: H. B.

Wymarsz z Lublina

Dalszy ciąg ze str. 1

mamy słuchać, a nie mędrkować; tylko... powiedzcie kolego, skąd wiecie, że pojedziemy pociągiem?

Brzuch felczera znów niebezpiecznie wzdął się. Burzatemu również z trudem udało się powstrzymać śmiech.

Gesz spojrzał zaskoczony na chirurga. — Ano, właśnie — powiedział po chwili — tajemnica służbowa.

Teraz farmaceuta jakby się obudził. — Tak — zwrócił oczy na Gesza mogło by się wydawać, że pan ma rację. Smutny jednak byłby świat, gdyby pan ją miał i dlatego wierzę, że pan nie ma racji...

— Ten zrozumiał — pomyślał Burzaty, gdyż już raz słyszał Gesza — zrozumiał...

Chirurg głośno wycierał nos. — Panowie, kolacja! — oznajmił znów pewnym głosem, gdy talerze dymiącej kaszy i zsiadłe mleko postawił przed nimi wojskowy kelner.

Świtem wsiadali do pociągu. Mały chirurg przyglądał się Geszowi z ukrywanym respektem. Wagon towarowy zaścielony słomą skrzypiał i dudnił. Pod ścianami ustawione ławki trzeszczały. Jechali z taborem armat przeciwlotniczych i dział przeciwpancernych. Doczepiono ich do tego składu. Konwojentem „personelu medycznego" nadal był ryży porucznik.

Wszyscy milczeli tylko felczer coś półgłosem tłumaczył strzelistej pielęgniarce. Drzwi bydlęcego wagonu szeroko rozsunięte kadrowały coraz to nowe pejzaże jesieni. Było ciepło i słońce promieniowało ucięte horyzontem. Szron topniał na trawach i liściach. Pociąg dudnił jednostajnie i lokomotywa sapała zmęczona tym bezustannym ciągnieniem żelastwa, drzewa i ludzi.

Farmaceuta siedział w drzwiach a nogi zwisały mu z wagonu. Czuł jak drgania tego węża z drzewa, żelaza i stali przechodzą mu przez skórę, mięśnie, trzewia i docierają do serca i mózgu. Przenikała go całego ta fala ruchu. Prawie czuł się sprzężony z życiem maszyny: w jej trud, pęd i marzenia o lepszej doli wprzęgnięty. — Maszyna pragnie: chce wyzwolić się. Chce być lepsza od zwierzęcia. Chce myśleć. Może niedługo zapragnie od człowieka być doskonalsza? Zapragnie... — Przechodziły go drgania wszystkimi porami od stóp do głowy, jak miliony żyjątek, rozchodziły się w nim, plądrowały, że powoli ci ambasadorowie ruchu maszyny zawładnęli jego ciałem i czuciem, aż przestał być człowiekiem i — jak mu się dotąd zdawało — samodzielnym bytem. Stawał się cząstką materii w jej krążeniu i przepływaniu form.

Słońce wyszło całe z głębi i wysokości czy może poziomu nieba, wyrzucając z siebie ogień, z którego oczyszczało się w męce „i nam niosąc oczyszczenie w życiu i śmierci" — myślał farmaceuta — trwaniu i przemijaniu, co może też jest pozorem, względnością wobec niewidocznego początku i końca przestrzeni nieogarniętej zmysłami i czasu nie mieszczącego się w głowie.

Zapragnie...? Czy maszyna może zapragnąć? Nie wiem — pomyślał farmaceuta. — Karmimy się pragnieniami przez długie stulecia i jeszcze nie wiemy... Co może wiedzieć najdoskonalsza maszyna, jeżeli tylko pragnie myślenia?

Czy będzie kochać i nienawidzić, bronić i mordować w imię czegoś, co poznać chce, a nawet mogłaby poznać przez jedno stulecie ludzi? A może skonstruowana na wzór ludzkich marzeń o doskonałym człowieku, przeraźliwie obiektywnym, myślącym bez błędu z szybkością światła, z szerokością galaktyki — wreszcie dotrze do tego...

Do czego? Otóż to! Do czego?!

Gdzie jest ten wzór, test, czy układ, który należy podać maszynie jak pałeczkę sztafety na wieczną odpowiedzialność za materię ożywioną, która też może okazać się pozorem, ale jest prawdą dopóki żyjemy my i zwierzęta, drzewa i.. ziemia. Człowiek chce stworzyć człowieka na wzór i podobieństwo swoich marzeń o człowieku. Czy maszyna, jeżeli już taką będzie, uszanuje źródło swojej inspiracji? Czy uszanuje prawa natury? A może zmieni je? Czy potrafi pragnąć i pytać? Odpowiadać i cierpieć? Mordować i kochać? Umierać z nadzieją, gnić i mimo wszystko dążyć? Stawiać pierwsze i ostateczne pytania? Świadomie i w interesie życia zadawać sobie ból? Czy maszyna kiedykolwiek zapłacze? A może właśnie my damy tym ludziom-maszynom, naszą zwierzęcą krew?!

Krew! Pociąg na zakręcie wypiął swoje ciało najeżone lufami dział i armatek, których wyloty wpatrzone w niebo milczały. Farmaceuta wyjął z kieszeni bluzy tabletki od bólu głowy. Połknął jedną niczym nie popijając. Oparł głowę o drzwi pociągu.

I znów słońce, już wyrośnięte, pełne i dojrzałe wpatrywało się w jego oczy natarczywie, pytająco i szło po elipsie zaklęte w koło, wirujące, splecione z niewidocznymi gwiazdkami, galaktykami; spragnione ostygania, jakby śmierć była szczęściem; jakby dawanie było rozkoszą. Natarczywie pytające wpatrywało się w oczy człowieka, któremu nogi zwisały z pociągu.

Tak dojechali. Dojechali, gdyż dojechać musieli, jak mówił Gesz.

To był pałac. Autentyczny pałac w stylu renesansowym.

Szli więc pieszo od stacji ponad dziesięć kilometrów. Mały chirurg zawsze w przodzie obok ryżego porucznika, który próbował intonować bojowe piosenki; lecz nikt nie podejmował prócz chudej i chirurga. Tak pociągnąwszy parę taktów urywali osamotnieni i speszeni dysharmonią, której głównym autorem okazywał się chirurg. Ryży zaczynał następną i następną w nadziei, że pójdą za nimi inni bardziej „muzykalni" od chirurga; inni szli, ale milczeli. Więc zrezygnowany porucznik wrzasnął:

— Czwórkami marsz! — Aż szofer wyszczerzył zęby, aż „strzelista" pisnęła z uciechy niby mysz nadepnięta, a felczerowi zabulgotało, głęboko, matowo i urągliwie.

Czwórki stały się ciałem tak nieforemnym w swej formie, że przeczyły prostemu odczuwaniu ładu, że przeczyły nawet nieładowi — były karykaturą obydwu.

Porucznikowi twarz wykrzywił spazm: niby śmiech, niby płacz; coś straszliwego w nierozwinięciu, w ucięciu albo poronieniu; coś, co nie może mieć nazwy ludzkiej. Odwrócił więc szybko głowę: nie chciał dłużej oglądać tego upiora wlokącego się drogą.

Zapanowało milczenie. Jakby „wojsko" poięło nagle i ponad swoją przyrodzoną możliwość ten nietakt wobec ustalonych form obcowania z szosą, marszem i porucznikiem: jakby odczuło jego ból i obrzydzenie. Być może „wojsko" wstydziło się.

Więc szli dalej milcząc i znów rozpadając się w nieład. Po paru kilometrach felczer i doktor Gesz usiedli przy rowie i zapalili. Chuda stanęła niezdecydowana — „iść, nie iść" — myślała, a porucznik szedł, nie oglądając się za siebie.

— Obywatelu poruczniku — powiedział mały chirurg — tam maruderzy zostali!

Porucznik stanął, ale nie obejrzał się.

— Ilu? — zapytał.

— Trzech.

— Wówczas porucznik poczerwieniał na twarzy, może nawet poczerwieniał cały, i odwrócił się gwałtownie, jakby chciał stawić czoło nadjeżdżającym czołgom sam jeden i bez szans. Zmełł w ustach przekleństwo, zdjął czapkę i powiedział:

— Trzeba zarządzić postój.

— Postój? — zdziwił się chirurg.

— Tak, postój! — Teraz dopiero zabrzmiał w głosie porucznika ton nie znoszący sprzeciwu. — Postój! Rozkazuję — wykrzyknął złą komendę i spojrzał ukosem na chirurga. — A wam, kapitanie, nie odpowiada postój?

— Mnie... mnie odpowiada, tylko myślę, że bez rozkazu nikt nie powinien siadać.

— Od... poczynek — krzyknął porucznik na tych, którzy jeszcze się wlekli i odwrócił się tyłem do chirurga.

To był pałac. Autentyczny pałac w stylu renesansowym. Gdy doszli do niego po dziesięciu kilometrach marszu, byłby i tak dla nich pałacem, nawet nim nie będąc.

Obok pałacu w rozstawionych namiotach leżało szeregowe, sanitarne wojsko. Zażywali drzemki poobiedniej. Porucznik zameldował się komendantowi szpitala polowego, majorowi Redowowi i powrócił do swoich podopiecznych.

ROMAN LOBODA

(Fragment powieści „Podwójny rozdział")

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI

KOCIE SMUTKI

* * *

Tutaj piechotą tu już tylko boso
tu patrz dziewczyny zasypanej śniegiem
wiatr pourywał skrzydła aniołom
kraina zimna w ostach rośnie piach

Posłuchaj płaczu pszczół nieurodzonych
zwierzęta wyszły wiatry lizać z nieba
ze snu muchomora wynikło sarniątko
i słowik przyrósł do spirali śpiewu

(Czy śpiew początkiem może być słowika)
Znów do tej samej powracamy rzeki
gdzie cienie koni piją chwałę jeźdźca

Kto raz jak Nike zawiązywał sandał
będzie przez wieki jak Nike wiązał
w zwierciadło wody zaklęty jak w marmur

* * *

Słyszysz, ja zmierzcham Niechaj z ciebie blaski
wypłucze cisza Przybądź na mój wieczór
Od stóp zanikam i dłonie mi rzedną
kość pustoszeje dając miejsce echu

I oto widzę tu, że nic nie widzę
gwiazdy wchłonęły mój śpiew i pogasły
Z próżni pomiędzy ciszą a muzyką
wiatry wychodzą czesać moje włosy

Więc nie opuszczaj mnie gdy bledną rzeczy
Kiedy odejdziesz będzie wieczny głód
A jeśli czas jest tylko rytmem myśli
co nim zakwitnie znika w własnym ogniu
to kto opowie nasze nagłe przyjście
— — — — — — — — —
W krainę moją już nadciąga śnieg

I koty także mają swoich bogów
uwitych ze słomy rzadziej z seradeli
Kto się do stodół z pogardą odnosi
błądzi albowiem one to świątynie kotów

Tu widzisz snopy jak wyspy ogromne
siano się budzi i znów do zieleni
wraca i szumi swą minioną wiosnę
sosnowe belki zmieniają się w las

I idą koty i mówią pacierze
do swoich bogów którzy śpią na sianie
Lecz biada bogom jeśli kocie modły
przez wicher gnane zamienią się w płacz

W stodole woda, myszy na pogrzebie
słychać po norach ich tragiczny pisk
Co będą jadły wygłodzone koty
snop się podnosi a pod snopem głód

A marzec zawsze jest pełen wołania
o świętą litość zziębniętej samicy
Miłość na żerdziach wilgotnych od mrozu
ma zapach miękkiej ze śniegu poduszki

Stodoła pełna pustynna dla kotów
ni pisku myszy ni wróblego świru
już miłość przeszła ze słotą marcową
już tylko po niej nie przeminął ból

Wracają koty skąd wyszły pod piece
tu ich początek tu popiół ich życia
ostatnia przystań i mówią pacierze
do swoich bogów, którzy śpią na sianie

Lecz biada bogom jeśli kocie modły
przez wicher gnane zamienią się w dym

SMAK MORZA

Zima 1963/64 przyszła do Bretonii w strugach deszczu i wyciu sztormów. Czarna flaga nie opuszczała masztu ostrzegając wyruszających w morze. Ale bretońscy rybacy nie chcieli wypływać na połów. Eryk Taberly, młody chłopak wypływał właśnie wtedy, gdy morze było najbardziej wzburzone.

Im wyżej sięgały fale, tym śmielej rozpinał żagiel swego kutra. Wracał późnym wieczorem lub też zjawiał się następnego dnia o świcie, gdy morze już było spokojniejsze, zmęczony i głodny.

Ludzie wzruszali ramionami. Tylko nieliczni znali tajemnicę tych ryzykownych wypraw. Eryk Taberly, porucznik marynarki francuskiej pracował w bazie morskiej w Lorient — dnie i noce spędzał na statku. Sen miał lekki, byle szmer stawiał go na nogi. Nie palił nie pił, nie miał samochodu. Comiesięczną pensję odnosił do stoczni braci Costantino Oszczędzał.

Bo Eryk miał tylko jedno marzenie: samotnie przepłynąć Atlantyk. Ale jak tego dokonać? Nie posiadał odpowiedniego jachtu. Kuter, na którym odbywał swoje „sztormowe" wyprawy nie nadawał się do oceanicznych podróży. Eryk wiedział, że tylko długi kadłub może unieść żagiel, który by mógł sprostać atlantyckim sztormom. O takim statku marzą ludzie morza.

Długie godziny spędzał Eryk w stoczni braci Constantino. Omawiał wymiary rysował sylwetkę jachtu, śnił o nim po nocach. I oszczędzał... Z trudem zebrał 20 tys. franków, brakowało trzy razy więcej, ale Ministerstwo Żeglugi udzieliło pomocy.

W wigilię 1963 r. oceaniczny jacht opuścił stocznię. W końcu kwietnia statek był gotowy do drogi, a Eryk miał za sobą zimową zaprawę na morzu i samotne zmagania z rozszalałą falą. Jacht otrzymał imię „Pan Duick" — tak nazywa się wróbel żyjący na wybrzeżu atlantyckim. Koledzy pomogli przewieźć jacht do Lorient i podczas wolnych od pracy godzin pomalować go i urządzić.

23 maja miały rozpocząć się wielkie zawody oceaniczne. Trzeba było pomyśleć jeszcze o zapasach żywności. Eryk zakupił więc ryż, czekoladę, kartoflaną mąkę, wino, suchary.

Na jachcie zainstalował małą kuchenkę, którą umocował na kardanie. W taki sam sposób przytwierdził stolik, a na nim mapę żeglarską.

Wreszcie oczekiwany dzień!

Eryk pożegnał matkę i w towarzystwie ojca popłynął do Plymouth. Tego dnia po raz pierwszy sam na pełnym morzu prowadził statek wielkiej przygody. Chcąc wypróbować zwrotność obaj z ojcem zwyczajem bretońskich rybaków — pracując bez słowa — sprawdzali działanie wszystkich urządzeń. Eryk nie znał dokładnej godziny startu — nie słyszał sygnału „gotuj się". Właśnie pożegnał ojca, gdy wystrzał armatni oznajmił, że rozpoczęły się największe w dziejach sportu zawody.

Zawodnicy wystartowali natychmiast. Tylko Eryk nie był gotów. Jeden po drugim mijały go przelatujące obok „Pana Duicka" jachty. Czyżby wszystko było już stracone?! Pełen rozpaczy Eryk puścił w ruch automat steru, napiął mięśnie i z całej siły

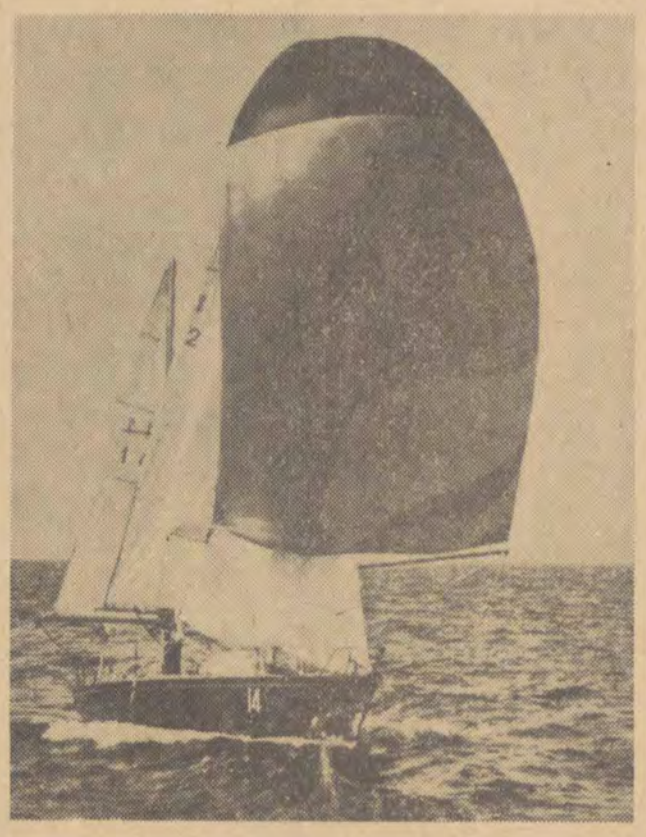

szarpnął otwierając olbrzymi żagiel. Wiatr wydął go i statek jak strzała minął redę.

Zdala od portu morze było niezbyt łaskawe. Statek skakał jak piłka. Eryk nie wypuszczał steru z ręki. Plymouth był już ledwie widoczny. Tam, na molo, wciąż jeszcze stał ojciec, a w domu czuwała matka — Eryk pamiętał jej słowa — „Będę patrzeć w gwiazdy i myśleć o tobie". Pogoda psuła się. Zaczął padać drobny, dokuczliwy deszcz. Pierwsza kolacja — pierożki z mięsem i świeże owoce. A potem busola pod głową i sen... Tej nocy minął go angielski frachtowiec. „Szczęśliwej drogi" sygnalizował kapitan. I tak nastała noc pierwsza z 21 samotnych nocy...

Obserwując mapę Eryk postanowił zmienić kurs. Wybrał trasę gór lodowych — niebezpieczną, ale szybszą do przebycia. Nie używał radia. Rozciąganie anteny zabiera za dużo czasu, a poza tym nie chciał, aby wiedziano gdzie się znajduje. Drugiego dnia przyszedł sztorm. Siła wichru wynosiła 6° — ale Eryk znał już gorsze sztormy, a „Pan Duick" był wspaniałym statkiem! Następnej nocy wiatr zmienił kierunek, morze uspokoiło się, i Eryk mógł zasnąć.

W kilka dni potem, korzystając z okresu ciszy, naprawił automat sterowniczy. Kiedy zaczął padać deszcz zjawił się mały ptaszek, niebieskoskrzydły, usiadł na dziobie, był bardzo zmęczony, dyszał... Żył zaledwie kilka minut. Skąd przybył? Zapewne z odległej o 400 mil Irlandii.

29 maja. Znowu sztorm. Gnany wichrem statek leciał z szybkością 12 węzłów, nie dotykając prawie fali. Trzymanie steru było prawdziwą męką. O północy nadpłynęły delfiny, kręciły się przy dziobie, wówczas po raz pierwszy usłyszał Eryk ich głosy. Następnego dnia okazało się że bestie odgryzły linkę locku.

31 maja. „Pan Duick" miał już za sobą trzecią część drogi, gdy zdarzyła się katastrofa. Automat sterowniczy przestał działać. Odtąd prowadzić statek można było tylko stojąc noc i dzień przy sterze. I znów przyleciał ptaszek. Miał białe piórka i żółty dziobek. To był ptak lądowy. Usiadł, ale widząc brodacza manewrującego żaglami szybko odleciał. „Pan Duick" znajdował się wówczas w połowie drogi między Plymouth a Terranowa.

1 czerwca. O świcie dał się słyszeć łoskot — to samolot krążył nad kutrem dokonując zdjęć. „Przynajmniej mama będzie wiedziała, że żyję jeszcze". A potem rozszalało się morze. Eryk ukrył się za szybą z plexiglasu, była to na jachcie jedyna osłona. Dotychczas nie zmieniał bielizny, nie mył się, oszczędzając wodę, twarz miał spękaną od soli morskiej, oczy przekrwione. „Pan Duick" gnał przez ocean szybciej, bo wiatr zmienił kierunek. Morze wydawało się piekłem. Eryk przywiązał się do steru, tylko w ten sposób mógł utrzymać się i prowadzić statek. Wówczas to budzik spadł i pękła w nim sprężyna.

6 czerwca. Nowy sztorm trwający 24 godziny. Po nim temperatura spadła poniżej zera. Od Labradoru dął lodowaty wiatr. Przemokłe ubranie zamarzło, stało się twarde jak kamień. A kiedy nastała cisza Eryk zrozumiał, że zboczył z kursu. Znajdował się pośrodku Golfstromu i tracił dziennie 20 mil. Do Newportu było jeszcze 900 mil! Tym razem zmiana kierunku wiatru przyniosła falę gorącego powietrza. Z nieba lał się żar. Żeglarza opanowała straszliwa senność.

10 czerwca. Eryka zbudził niesamowity huk. Uszkodzony został maszt i żagiel do połowy nurzał się w wodzie. Trzeba było wdrapać się wysoko, podczas gdy statek rzucany falami skakał po ich grzbietach jak piłka. Eryk powtarzał wspinaczkę kilkakrotnie, zanim naprawił uszkodzenie. Znów zmiana temperatury. W dzień tropikalny upał, w nocy polarne zimno. Eryk zakładał wtedy 2 pary rękawic. Zgrabiałe palce traciły czucie.

Trzy tygodnie upłynęło od wyjazdu z Plymouth.

Gdzie mogą być pozostali zawodnicy? Eryk otworzył radio. Czyżby głos Beatlessów. Nadaje chyba radio Kanady, a może jakaś rozgłośnia St. Zjednoczonych? Nad statkiem mewy. A więc blisko ziemia... Morze jednak nie dawało za wygraną. Znowu burza. Eryk zebrał wszystkie siły, wparł się w drążek steru. Teraz, gdy jest tak blisko, nie może przegrać.

18 czerwca, godzina 9,30. Oficer dyżurny statku „Nautucket" zobaczył na horyzoncie żagiel. Natychmiast dał rozkaz spuszczenia szalupy. Sternik zbliżając się do czarnego statku odczytał na jego burcie nr. 14.

„Kim jesteś"? — zapytano z szalupy. Samotny żeglarz odpowiedział: „Taberly".

„Jesteś pierwszy" — zawołał marynarz.

Tamten dał znak ręką i ściągnął nieco żagiel. W południe nadleciał samolot. Eryk nie wiedział, że na pokładzie znajduje się jego ciotka, która płacząc z radości spoglądała na jacht. Tej nocy Eryk nie spał wcale. Kiedy świtało spojrzał na mapę. To była ziemia — „Newport" — meta! Był pierwszy!

Trasa wjazdu biegła od latarni w Brando do boi nr. 2. Przebył ją o godzinie 10,02. Od chwili opuszczenia Plymouth upłynęło 27 dni, 2 godziny i 56 minut.

Kiedy wchodził do portu marynarze odkryli głowy... we wszystkich kościołach biły dzwony...

oprac. M. Tymowska

EKRANIK

Frank Sinatra, Bing Crosby, Sammy Davis junior, Dean Martin — taki plakat byłby marzeniem każdego dyrektora music-hallu, nie mówiąc o naszym Pagarcie. Tylko film może sobie pozwolić na taki kwartet. Toteż występują oni wszyscy razem w nowej komedii muzycznej Gordona Douglasa zatytułowanej „Robin and the Seven Hoods". Rzecz dzieje się w Chicago lat trzydziestych, w środowisku gangsterskim, bohaterami są gangsterzy o złotych sercach (wbrew woli, oczywiście) oraz piękna dziewczyna, szukająca pomsty na mordercy swego ojca. Podobno bardzo śmieszne i melodyjne.

* * *

Charlton Heston, znany i miejmy nadzieję dobrze zapamiętany z filmu „Biały Kanion" gra obecnie ważną, główną rolę w nowym filmie z Dalekiego Zachodu — „Major Dundee". Heston w tym filmie jest dowódcą oddziału armii federalnej, w walce z armią Południa, dowodzoną przez Richarda Harrisa. Obaj wrogowie jednoczą się dla walki z indiańskim plemieniem Charriba. Film obfituje w efektowne sceny batalistyczne, wiele w nim jest pościgów i akrobacji konnej. Jest także pewna ognista meksykańska wdowa...

* * *

W okolicach Dunkierki powstaje jeden z nielicznych we Francji poważnych filmów poświęconych wojnie. Jest to film zatytułowany „Śmieszna wojna", realizowany przez Henri Verneuilla według sławnej powieści R. Merle'a „Weekend w Zuydcoote". Verneuill zapewnia, że film, chociaż panoramiczny i barwny, nie będzie filmem widowiskowym. Ma to być opowieść antybohaterska. W filmie grają: Jean Paul Belmondo, François Perrier, Albert Rémy, i wielu mniej, znanych aktorów. Akcja filmu zamyka się w czasie dwóch dni i na przestrzeni kilkunastu kilometrów kwadratowych wydm w pobliżu Dunkierki, gdzie zostały otoczone oddziały francuskie i angielskie. Jest to chyba pierwszy na świecie film o tragicznym odwrocie z Dunkierki.

* * *

Wszystko już przygotowane do wybuchu wojny. Strony walczące są już na miejscu. Z jednej strony stają Brigitte Bardot i Bob Zaguri, z drugiej fotoreporterzy i mistrzowie pióra. Od Brigitte zależy czy wojna wybuchnie. Chodzi bowiem o przesławny mur, oddzielający posiadłość B. B. od reszty plaży w Saint Tropez. Na skutek protestów mieszkańców BB zainstalowała w murze furtki, aby prawu stało się zadość. Ale czy te furtki będą otwierane? Oto najistotniejszy orzech do zgryzienia dla licznych czytelników brukowej prasy...

* * *

Marcel Carné znów przy pracy. Tym razem w Nowym Jorku powstanie jego nowy film „Trzy pokoje w Manhattanie" w filmie wystąpią Maurice Ronet i Annie Girardot.

DOBRY ŻART DOLARA, RUBLA, FUNTA, FRANKA WART

O wędkarzach wiemy zazwyczaj, że lubią bujać w obłokach. Ruch ręki pokazujący wielkość złowionej ryby jest dla wędkarzy bardzo charakterystyczny. Z tego gestu śmieją się w Moskwie i Paryżu, w Berlinie i Rzymie.

Bez słów

Bez słów

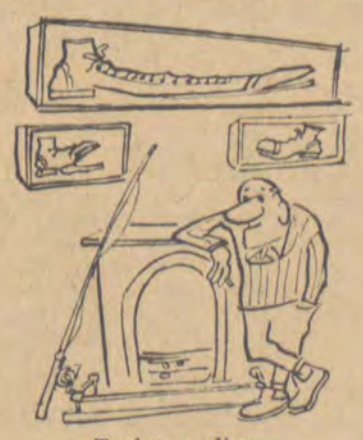

Trofea wędkarza

— Początkowo myślałem, że to węgorz...

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

Notatki LENIWEGO turysty

PRZYLOT

Samolot wychodzi z chmur ciężkich i szarych, lecimy coraz niżej, nad lasami i nad lasami rozbłyska czerwony neon, Moskwa. Niski budynek pod czerwonym neonem to aeroport Szeremietiewo, do Moskwy jeszcze czterdzieści kilometrów. Jedziemy do centrum samochodem, nie kończące się ulice zabudowane są niskimi, piętrowymi lub parterowymi, drewnianymi domkami, gdzieniegdzie widać zarysy nowych osiedli i uśpione żurawie, pochylone nad otwartymi wnętrzami domów, a gdy miniemy dwa bijące w niebo zielone wodotryski, tuż przy szosie, dwa wieżowce z zielonego szkła i stali, będziemy już w Moskwie. Nad ulicą Gorkiego zapalają się i gasną neony, strumień samochodów krzyżuje się ze strumieniem przechodniów, nie widać ani złotych kopuł ani czerwonych murów Kremla, widać tylko neony i splątaną sieć drutów nad asfaltem i rozbłyski świateł w restauracjach wielkich hoteli, w „Mińsku" czy w „Nacjanolu" i właśnie wtedy — dlaczego właśnie wtedy? — pierwszego wieczoru w Moskwie, siedząc jeszcze w samochodzie, wspominałem wiersz Mariny Cwietajewej, zapisany 7 maja 1916 roku:

U mnie w Moskwie gdy kopuły płoną,
U mnie w Moskwie gdy dzwonnice dzwonią,
Sarkofagi tam rzędami u mnie stoją,
A w nich śpią caryce i carowie.

Ale Moskwa roku 1964 nie jest Moskwą Mariny Cwietajewej. Choć nadal płoną kopuły i dzwonią dzwony i w sarkofagach śpią caryce i carowie. Moskwa roku 1964 czeka na nowego poetę. Sieć drutów i neony i rozbłyski świateł nad asfaltem, czekają na nowego poetę. Ludzie w rozbłyskach świateł, ludzie na peronach dworców i na aerodromach, ludzie, patrzący sobie w oczy na ruchomych schodach w metro, ludzie grający pod drzewami, o zmierzchu, w domino, czekają na nowego poetę. Czekają, nie wiedząc, że czekają. Czekają na coś. Oczekują czegoś. Kto będzie tym oczekiwanym poetą? Czy poznaliśmy go? Czy poznamy? Czy już jest? Czy będzie?

GRÓB POETY

Poetę pochowano w Pieriedielkino. Poeta prawie całe swe życie mieszkał w Pieriedielkino, tutaj, między tymi drzewami, tłumaczył Szekspira i Słowackiego, tutaj, pod tym czerwonym dachem pisał swą powieść i wiersze, które są chwałą wszystkich języków słowiańskich. Cmentarz w Pieriedielkino położony jest na łagodnie opadającym stoku zielonego wiecznie, tak myślałem i i tak myślę, zielonego — wzgórza. Grób poety, ogrodzony niskim płotkiem, znajduje się na skraju cmentarza, tuż poza grobem łagodny stok nagle się urywa i z głębokiego jaru wybuchają w górę zielone wodotryski drzew. W listowiu ptasio krzyczą dzieci, brązowi, półnadzy chłopcy mają tu huśtawkę, wdrapują się na drzewa i kołyszą na gałęziach, słyszę ich krzyk zmieszany z krzykiem ptaków i myślę, że głosy te muszą być miłe zmarłemu poecie. Dalej jest łąka i las i w lesie czerwone dachy domów, a między nimi, trzeci od lewej, dach domu poety. Nieopodal znajduje się lotnisko i co kilka minut krzyk chłopców, bawiących się w listowiu zagłuszany jest przez łoskot lecących na południe turbośmigłowców. Samoloty startują prawie pionowo, rozbłyskują na chwilę w słońcu, wznoszą się ostro ku górze i znikają w błękicie, nad grobem poety. Ostatni salut. Nieustający, codzienny salut. Zrywa się wiatr, sponad lasu, sponad białych cerkwi, sponad Moskwy ciągną szare chmury, za chwilę spadnie deszcz i umilkną głosy dzieci w listowiu. Ale odrzutowce nadal będą startowały z pobliskiego lotniska i będą wznosić się stromo ku niebu, poprzez skośny deszcz, i będą znikać w chmurach nad odzianym w polne kwiaty grobem poety.

Do Moskwy jedzie się z Pieriedielkino pociągiem elektrycznym, deszcz przestał padać i z okien widać oświetlone ostatnimi promieniami słońca wzgórza, których nazwa w pamięci czytelnika naszego kręgu kulturowego na zawsze już związana jest z imieniem poety. Wiersze poety są chwałą wszystkich języków słowiańskich. Sława poety dawno już przekroczyła granice naszego kręgu kulturowego. Worobiowe Gory przybierały różne nazwy w różnych językach, mówimy Wróble Wzgórza lub Sparrow Hills, tak składając hołd najpiękniejszy pamięci poety, pochowanego pod niebem, rozdzieranym przez świst odrzutowców,

PODRÓŻ DRUGA

BENEDIKTOW

Władimir Grigoriewicz Benediktow jest poetą zapomnianym. Prawie zapomnianym. Ostatni wybór wierszy Benediktowa ukazał się w roku 1939. Od tego czasu minęło 25 lat: w księgarniach i antykwariatach nikt nie pyta dziś o wiersze Benediktowa. Benediktow był rzeczywistym radcą stanu i dyrektorem banku w Petersburgu. Nikt nie wie, gdzie znajdował się ów bank, nikt nie wie, jakimi ulicami chodził z domu do banku Benediktow. Czy chodził Newskim Prospektem? Czy przystawał nad Fontanką i patrzył w wody ciężkie i ospałe? Czy, idąc bulwarami wzdłuż brzegu Newy, liczył statki, płynące ku morzu? Benediktow był oficerem i w roku 1831 brał udział w walkach z Polakami, którzy powstali przeciwko władzy cara. Za męstwo został odznaczony orderem. Ale nikt nie wie, jakim orderem został odznaczony i nikt nie wie, jakich czynów dokonał, walcząc z Polakami, i gdzie okazał się mężnym i kiedy i po co? Benediktow żył długo i wiernie i przykładnie. Umarł 14 kwietnia 1873 roku, w Petersburgu. Ale nikt nie wie, jak umierał i jakie były jego ostatnie słowa. I nikt nie wie, gdzie został pochowany. Nie widziałem grobu Benediktowa, czy ktoś przynosi kwiaty na ten grób?

Niewiele wiemy o Benediktowie. Wysiłek filologów, którzy piszą lub będą kiedyś o nim pisać, jest wysiłkiem zbędnym. Filologowie powiedzą, jaki order otrzymał Benediktow i przypomną nam, być może, jego ostatnie słowa. Ale nikt nie będzie już czytał Benediktowa, przed snem, w półmroku, ze łzami. Lub o świcie, w półświetle, ze łzami. Nikt nie będzie szukał w tych wierszach ratunku, pociechy, ocalenia, Poeta Rosjan, którego wierszy nikt nie czyta w półmroku, przed snem, ze łzami w oczach, poeta Rosjan, w którego wierszach nikt nie szuka ratunku i odpowiedzi na pytania ostateczne, bardzo musi być nieszczęśliwy. Poeta Rosjan, niepotrzebny ludziom, jest niepotrzebny językowi. Niepotrzebny poezji czasu przyszłego. Niepotrzebny nikomu. Nawet poetom. Los Benediktowa jest nie do pozazdroszczenia. A przecież był to niegdyś poeta wysokiego — najwyższego — lotu. A przecież Tiutczew i Żukowski — Tiutczew, który nigdy nie będzie zapomniany, Żukowski, którego wiersze są wciąż potrzebne poezji czasu przyszłego — zachwycali się olśniewającymi poematami Benediktowa. A przecież uczył się u niego Fet. Fet, który jest równie wielkim poetą i który również niebawem będzie zapomniany. A przecież wydana w roku 1835 pierwsza, niewielka książka wierszy, przyniosła 28-letniemu poecie olbrzymi sukces i sławę, zdawałoby się, niezniszczalną. Co się stało? Dlaczego nikt nie przynosi kwiatów na ten grób?

Benediktow żył w wieku Bielińskiego i Czernyszewskiego. Bielińskiemu nie mógł spodobać się poeta, przyznający otwarcie, że gotów jest wynaleźć język jeszcze nikomu nieznany, jeszcze nie zaistniały (niewiedomyj jazyk). Czernyszewskiemu nie mógł spodobać się poeta, zakochany w słowach błyszczących i zimnych, w strukturach wysoko skomplikowanych, prawie manierycznych. Benediktow nie spodobał się i popadł w niełaskę. W wierszach tego poety, pisał Bieliński, nie ma ani myśli, ani wewnętrznego życia. W wierszach tego poety, kończył Bieliński, można dostrzec tylko wysiłek wyobraźni. Bieliński nie parał się drobiazgami, stwarzał modele kulturowe i decydował o kształcie i przyszłości tych modeli. Los Benediktowa nic oczywiście Bielińskiego nie obchodził. Decydując o modelu kultury, krytyk ten zadecydował jednak o losie Benediktowa, Losy poetów zależne są od losów modeli kulturowych. A przeto od Bielińskiego. Los Benediktowa jest wysoce pouczający.

VIVALDI

Gdy orkiestra Barszaja gra Vivaldiego, serce staje. Wołkoński jest świetnym klawesynistą, Ojstrachowie grają Vivaldiego bardzo pięknie. Ale to już nie to samo, bo grający Vivaldiego Barszaj, wie wszystko o Vivaldim i i wie wszystko o nas.

Vivaldi Barszaja, cezannowska Góra św. Wiktorii — w Ermitażu i w Moskwie, w Muzeum im. Puszkina — Góra, na którą ileż to razy Cezanne wchodził, i kilka wierszy Borysa Pasternaka, i kilka wierszy Osipa Mandelsztama: w historii sztuk człowieczych jakże rzadko zdarzają się takie dzieła, będące własnością wszystkich, dzieła, które stwarzają możliwość porozumienia wszystkich ze wszystkimi, dzieła, dzięki którym możemy się zrozumieć. Skąd się biorą, skąd bierze się to światło, ten nagły rozbłysk, na terenach naszej zbiorowej świadomości, to nagłe skupienie mocy, nagłe natężenie wszystkich człowieczych sił, te nagłe i nieoczekiwane narodziny piękna? Czy to epoka tak każe, czy to epoka włada artystą? Czy trzeba zginąć w śniegu, by mogło narodzić się piękno? Czy trzeba zostać zapomnianym, by mogło narodzić się piękno? Czy to epoka włada artystą? Czy to Barszaj, grający Vivaldiego, włada epoką?

fraszki jana Czarnego

PERSPEKTYWA

Po śmierci cię ocenią
a teraz to się lenią.

DZIEJE

Takie już życia dzieje,
wszystko w końcu dziadzieje.

LECH BUDRECKI

„Uliczka dobrych ludzi" nie jest książką jednorodną. Nie przynosi wraz ze sobą jakieś jednolitej, skrystalizowanej już, ustalonej propozycji pisarskiej. Przynosi kilka rozwiązań. I to rozwiązań dość odrębnych. Niewiele bowiem mają ze sobą wspólnego „Pożar" i Płukanka do włosów", najlepsze chyba z opowiadań tomu, najlepsze obok „Słońca". I niewiele wiąże „Książkę z ulicy Wolborskiej" z „Wanną". „Uliczka dobrych ludzi" składa się z opowiadań o rozbudowanej tkance fabularnej. I z opowiadań których tkanka fabularna zmierza ku zanikowi. W „Uliczce dobrych ludzi" trafiamy na prozę rozgrywającą się hic et nunc — tu i teraz. Zapisują one to, co dzieje się właśnie w tej chwili. Operują czasem teraźniejszym. Mówią: „Na drugim przystanku wysiadam, staję przed budką z gazetami i patrzę na szybę, za którą piętrami poukładano gazety. Ręka wzmaga się, odsuwa szybę, podnoszę głowę, twarz, w której zmieszany ból niemłodej kobiety ze zdziwieniem staruszki, oczy błyszczące czarne". Ale w „Uliczce dobrych ludzi" trafiamy również na opowiadania, których narrator dysponuje dystansem do przedstawionych wydarzeń. Opowiada o rzeczach już dokonanych, przeszłych, komentuje to, co się zdarzyło. Nierzadko rozpoczyna od komentarza. Tak jak choćby w „Krajobrazie absolutnego dnia".

„Uliczka dobrych ludzi" prezentuje nam opowiadania nastawione na pointę. Rozgrywające ją. Czasem jej funkcję przejmuje komentarz narratora (np. w „Wannie"). Czasem staje się ona pointą metaforyczną. Tak właśnie dzieje się w „Słońcu". Czasem wreszcie... Tak, czasem pisarz zwraca się w inną stronę. Tenduje ku prozie odmiennego rodzaju. Cofa się przed pointą. Unika jej, wymija ją. Pointa nie zamyka już opowiadania. Przed nami leży opowiadanie „otwarte". Takim opowiadaniem jest chyba „Pożar". I z całą pewnością jest nim „Idź gdzieś w miasto".

„Uliczka dobrych ludzi" jest książką wielu dość odległych od siebie propozycji. Powtarzam — dość odległych, albowiem w poetykach prezentowanych przez Waleńczyka trudno by się dopatrzeć poetyk krańcowo różnych. Z drugiej jednak strony trudno zapominać o ich odmienności. O tym, że odrębny model pisarski wyznacza „Słońce", a odrębny „Książka z Wolborskiej 44". A jednak istnieje tu wspólny mianownik. Tym wspólnym mianownikiem nie jest aparatura pisarska. Nie są propozycje interpretacyjne. Jest nim przedmiot interpretacji. Przedmiotem interpretacji w prozie Waleńczyka staje się powszedniość. Zdarzenia zwykłe, jak najbardziej codzienne, a już co najmniej w codzienność zanurzone. Pożar, wizyta u ślepnącej kobiety, wyprawa do miejskiej łaźni, rozmowa z kolejarzem... Nie ma tu wydarzeń wielkich, rozstrzygających czy to o losie narratora czy to o losie innych postaci. Egzystencja staje się sumą rzeczy nieważnych. Przesuwaniem się drobiazgów, tłoczących się realiów, byle jakich wydarzeń. Wymianą niepotrzebnych gestów i wymianą słów, których w gruncie rzeczy można by sobie oszczędzić. Jest przegraną, której racji nawet niepodobna obalać („Słońce"). Jest tymczasowością. Trwaniem od przypadku do przypadku. Nadzieją na „grubszy kusz" („Płukanka do włosów"). Ale „grubszy kusz" niczego nie zmieni. Pozostanie tymczasowość. Istnienie pośród spraw nikłych, miałkich, niedorzecznych. Oto wersja powszedniości Jerzego Waleńczyka. Notabene, biorąca swój początek z najlepszych jego wierszy. Ale wersji tej pisarz nie trzyma się konsekwentnie. Odstępuje od niej. Odstępuje choćby w „Wannie", choćby w „Źdźbie trawy i gwieździe", choćby w tytułowym opowiadaniu „Uliczka dobrych ludzi". Obstaje jednak przy codzienności. Przy wydarzeniach powszednich, które stają się nieraz pretekstem do lirycznej inkantacji. Wie o tym, wie dobrze, że wówczas powszedniość jako materia poetica traci swą dotychczasową funkcję. Ze opowiadana przezeń historia staje się historią błahą. Zmienia się w obrazek. Próbuje się przed tym bronić. Broni się niefortunnie. Broni się poetycyzmem.

Narrator Waleńczyka — a wszystkie opowiadania zebrane w „Uliczce ludzi dobrych" mają narratora — percypuje świat w kategoriach poetycznych. Mówi o nim za pomocą porównania i za pomocą metafory. Mówi: „Gwiazdy zamieszkują spokojne niebo i miasto oddycha wysoką, różową przestrzenią, i daleko przebiegają pociągi, suche błyskawice miasta". Posługuje się zaskakującym zestawieniem, wymienia jednym tchem konkret obok abstraktu. Autor aprobuje narratora. Nie zawsze, rzecz prosta, nie zawsze. Ale z reguły w tym właśnie miejscu. Oczywiście, można to tłumaczyć naciskiem liryki na prozę. Waleńczyk jest poetą. Do tej pory przede wszystkim poetą. Takie tłumaczenie nie zamyka jednak całej sprawy. Poetycyzm jest tu przecież obroną. Obroną przed bagatelnością opowiadanej „historii". Jest próbą nadania jej innej rangi. Próbą przekształcenia jej sensu. Poetycyzm ma „historię" uczynić bardziej wieloznaczną. Odebrać jej płaskość. Dlatego to bohaterka „Uliczki dobrych ludzi" jest „jak problem nierozwiązany, udręczona jak los nierozwikłany, jak pomyłka". Dlatego to „w niej wszystko pędziło na powierzchni dni jak szczątki słabnącego wraka". Poetycyzm zawodzi. Nie potrafi obronić „historii". Ocalić przyjętego układu fabularnego. Wysiłek zmierzający w kierunku zwielokrotnienia wieloznaczności okazuje się wysiłkiem daremnym. Układ fabularny odstaje od poetycyzmu. W sposób wyraźny, czasem nawet rażący. Poetycyzm nie ratuje układu. By uratować go, trzeba zmienić „historię". Trzeba ją przebudować. Zastąpić „historią" może pod wielu względami podobną, ale przecież inną.

Na szczęście nie jest to sprawa wszystkich opowiadań Waleńczyka. Jeśli zatrzymałem się nad nią to przede wszystkim dlatego, że stanowi ona znaczne niebezpieczeństwo dla prozy tego utalentowanego pisarza. Nie wiem zresztą czy zamierzone przez niego tylko. Mam nadzieję, że potrafi się z nim uporać. Tak jak potrafił się z nim uporać w „Słońcu" i w „Płukance do włosów". A więc w tych opowiadaniach, które stanowią rzetelną i niewątpliwie interesującą propozycję pisarską.

Jerzy Waleńczyk „Uliczka dobrych ludzi" Wydawnictwo Łódzkie, 1964 str. 148

W ŚWIECIE NIEWIDOMEJ

Co ludzie czytają i dlaczego czytają — oto pytania, które nie przestają nas intrygować. Wydaje się, że stosunkowo łatwo wytłumaczyć powodzenie książek takiego na przykład (Tomasza Manna. Działa tu magia nazwiska, opromienionego sławą i rozgłosem światowym. Toteż ilekroć ukaże się jakaś jego książka na rynku, ludzie wykupują ją natychmiast, choć nie wszyscy będą ją później czytać, a jeśli nawet zaczną, to nie każdy z nabywców doczyta daną rzecz do końca. Snobizm i tu daje wyraźnie o sobie znać. Książki głośnych autorów należy kupować niekoniecznie trzeba je czytać.

Ale jak wytłumaczyć powodzenie książek autorów nieznanych. Autorów, którzy nie są pisarzami zawodowymi i piszą jedną lub dwie książki w życiu. Co sprawia, że niejedna z takich pozycji znika natychmiast po wydaniu. Mam pod ręką przykład całkiem świeży. W maju br. ukazała się książka Tomi Keitlen (przy współpracy Normana Lobsenza) pt: „Pożegnanie z lękiem", w przekładzie Marii Semerau — Siemianowskiej. Rzecz opublikował Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich w wysokości dziesięć tysięcy egzemplarzy. Spróbujcie tę książkę kupić! Nie znajdziecie jej w żadnej księgarni. Sam schodziłem za nią pół Warszawy i całą Łódź i jedynie przypadek umożliwił mi nabycie autobiografii Tomi Keitlen. „Pożegnanie z lękiem" to książka niezwykła. Jej autorka, która straciła całkowicie wzrok w 1955 roku, mając lat trzydzieści dwa, opisała swoje życie z okresu, gdy widziała i później, gdy po wielu bolesnych operacjach straciła najpierw jedno, a po upływie jakiegoś czasu drugie oko. Czytałem już kiedyś „Historię mojego życia" Hellen Keller, pisarki amerykańskiej, liczącej dziś lat blisko osiemdziesiąt, która zachorowawszy jako kilkunastomiesięczne dziecko na zapalenie opon mózgowych, straciła słuch, wzrok i mowę i jedynie dzięki nadludzkim wysiłkom i zdolnościom Anny Sullivan zawdzięcza ona to, że wydźwignęła się ze stanu całkowitej ciemności. (Nawiasem mówiąc słynny film „Cudotwórczyni" odtwarza rzeczywiste dzieje Hellen Keller i jej nauczycielki). Lektura ta była dla mnie wstrząsem i długo nie mogłem się uspokoić. Człowiek, który stracił wzrok w dojrzałych latach swego życia, jest w sytuacji i gorszej i lepszej od tego co nie widzi od niemowlęctwa. W gorszej, bo opłakuje świat, którego już nigdy więcej nie zobaczy. W lepszej bo łatwiej może sobie wyobrazić rzeczy niegdyś znane i widziane. Tomi Keitlen, mieszkająca obecnie w Nowym Jorku, prowadząca kiedyś biuro Ligi do Walki ze Zniesławieniem, której celem było (i jest) zwalczać „nie tylko antysemityzm, ale również i wszelkie przejawy fanatyzmu i nietolerancji", jest kobietą o żelaznej woli i zupełnie wyjątkowym harcie ducha. Jej autobiografia dowodzi wielkiego triumfu człowieka nad samym sobą, nad swoim kalectwem, strachem, chorobą i samotnością. Tomi Keitlen, nie poddała się swojemu losowi, nie uznała się za pokonaną przez los, nie pogodziła się z nim, lecz wydała mu walkę. Chciała w dalszym ciągu być tym, kim była dotąd: człowiekiem czynnym, żyjącym i pracującym jak wszyscy inni tzw. normalni ludzie. Karty książki, na których opisuje autorka, jak z dna rozpaczy i załamania po utracie wzroku, wydobywała się stopniowo na powierzchnię życia, do stanu poczucia pełnej wartościowości, jak przełamywała niewiarę swoich najbliższych, jak opanowywała stopniowo każdą pracę i zajęcie — te karty w „Pożegnaniu z lękiem" należą do najpiękniejszych, jakie znam. Również pod względem literackim, gdyż jest to książka doskonale napisana: konkretnie i obrazowo, precyzyjnie i z temperamentem, a nawet ze swoistym poczuciem humoru. Niemała zasługa w tym autorki tłumaczenia, która świetnie tekst spolszczyła. Tomi Keitlen nauczyła się gotować jak dawniej, przyjmować gości jak dawniej, chodzić na spacery, grać na skrzypcach, pisze i czyta, wygłasza odczyty, odbywa podróże, uprawia sport, zwłaszcza jazdę na nartach, w dalszym ciągu czynna jest jako doradca w biurze Ligi do Walki ze Zniesławieniem, niegdyś przez nią kierowanym. Jej pomocnikiem, opiekunem i przyjacielem stał się pies — przewodnik Duchess, z którym odbyła podróż do Europy i któremu w drugiej części książki poświęca wiele miejsca.

Tomi Keitlen nie miała szczęśliwego małżeństwa. Po rozwiedzeniu się z mężem, pozostała jej córka Phillis, dziecko czułe i mądre, zaradne i rozumne. Spotkania matki z córką, która uczyła się w szkole z internatem, opisane zostały z majsterstwem zupełnie wyjątkowym. Kiedy zapytałem jednego z księgarzy, w jaki sposób ludzie tak szybko dowiedzieli się o tej książce i wykupili ją w ciągu tygodnia, nie potrafił mi odpowiedzieć. Rozłożył ręce: „Nie wiem panie. Wydaje mi się natomiast, że wiem, dlaczego ją czytają. W ludziach, proszę pana, są ogromne pokłady uczuć. Każdy chce okazywać komuś sympatię, wyrazy współczucia, chce się emocjonalnie angażować. Tu, w tej książce, ma kolosalne możliwości". Nie przeczę, że jest i tak. Inna sprawa, że autorka byłaby bardzo z tego niezadowolona. Najbardziej cierpiała wtedy, gdy ludzie jej współczuli i litowali się nad nią. Chciała, by traktowano ją tak jak każdego innego człowieka. Litość jest uczuciem okropnym, deprymującym, Tomi Keitlen bardzo nie lubi tych uczuć. Co do mnie, sądzę, że powodzenie tej książki polega na czym innym. „Pożegnanie z lękiem" kryje w sobie potężny ładunek optymizmu. Oto, co może człowiek. Może więcej, niż sam o tym wie. Stać go na heroizm najtrudniejszy, bo ten stały, codzienny, nieprzerwany. „Pożegnanie z lękiem" jest źródłem niewyczerpalnej wiary w życie, w jego możliwości, które nie mają granic. Ludzie szukają utwierdzenia własnego istnienia zarówno poprzez szczęście jak i nieszczęście innych. Człowiek czuje się samotny, ale nie chce nim być i cieszy się, ilekroć natrafia na walkę z samotnością i na zwycięskie jej pokonywanie.

Chyba te sprawy decydują o powodzeniu i poczytności książki Tomi Keitlen „Pożegnanie z lękiem". Przy tym wszystkim jest ona ładnie wydana, na dobrym papierze i w trwałej oprawie. I kosztuje zaledwie 15 złotych. Tyle, że nie można jej już nigdzie dostać. Niestety.

Jan Koprowski

SPEKTAKLE tygodnia

FILM

POLONIA — „Spotkanie ze szpiegiem"
20 seansów . . . . . 7 235 widzów

WŁÓKNIARZ — „Dwa złote kolty"
10 seansów . . . . . 4 695 widzów

TEATR

NOWY — „Wicek i Wacek"
7 spektakli . . . . . 4 200 widzów — 100%

POWSZECHNY — „Piosenka prawdę ci powie"
8 spektakli . . . . . 5 344 widzów — 100%

JARACZA — „Niepokonani"
6 spektakli . . . . . 3 800 widzów — 93%

OPERETKA — nieczynny

OPERA — „Legenda Bałtyku"
1 spektakl . . . . . 711 widzów — 100%

TEATR 7,15 — nieczynny

ESTRADA — nieczynny

FILHARMONIA — Koncert w ramach obchodu XX-lecia Łódzki Zespół Artystów Łodzianom na XX-lecie (park Helenów) . . . . . 6 000 widzów

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

Półka z książkami

POGOŃ ZA SŁOŃCEM

Słońce jest tu czynnikiem organizującym podróż i książkę. Trzydzieści tysięcy kilometrów od lipca do września. Jak by wynikało z nazw miejscowości i dat, skrupulatnie prowadzony dziennik lotu. Chociaż Lenart korzysta również z tych bardziej konwencjonalnych środków lokomocji, samochodem przemyka się w poprzek linii lotu. Nie wstydzi się również aparatu fotograficznego, utrwala to, czego nie udałoby się oddać opisem.

Wolę Lenarta reportera od Lenarta fotografa. Zatrzymane na kliszy obrazy pozbawione są tego, co przesądziło o pisarskim powodzeniu autora: migotliwości, ruchliwości, gorączki. W prozie ułamki zdarzeń ułożone są w jakiś pulsujący strumień i chociaż sam sposób zbierania materiału, dokumentowania faktów — podróż, już w założeniu zakłada doraźne, przypadkowe dotykanie spraw, a ściślej w tym wypadku „przelatywanie" nad sprawami, nie czujemy tego przy lekturze „Pogoni za słońcem". Zadecydowała koncepcja bohatera tej książki, który wprawdzie nie jest jednostką, ale nie jest też tylko zbiorowością. Tropy biografii jednych znajdujemy u następnych, ukształtowanych przez ten sam czas, przez te same fakty rzutujące na postawę ludzi.

Lenart mimo przesycenia całej książki nutą refleksyjności, wtrąceniami niemal esejistycznymi, nie unika rzetelnej informacji. Potrafi ją wtopić w ogólny tok narracji. Dzięki temu możemy nieco zorientować się w sprawach czysto ludzkich i produkcyjnych kraju od Moskwy do Chabarowska, a relacja ta budzi zaufanie.

Lenart, dotychczas autor dwu książek prozy, debiutuje właściwie reportażem; zamkniętym, zakomponowanym; bo z doraźnych publikacji prasowych we „Współczesności" znamy go przecież dość dobrze. Chociaż nie dogonił słońca napisał udaną książkę.

K. F.

Józef Lenart „Pogoń za słońcem", Wyd. „Czytelnik", 1964, str. 176.

OPOWIADANIA GRAHAMA GREENE'A

„Poczucie rzeczywistości" jest wyborem opowiadań Grahama Greene'a. Jest wznowieniem wyboru, który kilka lat temu ukazał się pod tytułem „23 opowiadania". Teraz zmieniono tytuł i dodano również cztery utwory: „Przed ogrodem", „Wizyta u Piotra Marin", „Sen o dziwnym kraju" i „Odkrycie w lasach".

Opowiadania nie stanowią najsilniejszej strony pisarstwa Grahama Greene'a. Myślę, że w lwiej części powstają one na marginesie powieści. Że są to odpadki serio traktowanych przedsięwzięć pisarskich. Stąd też ich problematyka nie jest problematyką dla Greene'a reprezentatywną. A w każdym razie rzadko nią bywa. W „Poczuciu rzeczywistości" na dobrą sprawę można by wskazać zaledwie na kilka opowiadań wprowadzających czytelnika w krąg zasadniczych — dla tego pisarza zagadnień. Na „Życie innych ludzi", na „Ostatnią szansę Levera", na „Po tamtej stronie granicy" i bodajże przede wszystkim na „Przed ogrodem". Z czterech opowiadań dołączonych do wcześniej już opublikowanego wyboru to właśnie zasługuje na szczególnie baczną uwagę. Nie tylko ze względu na zwrot autora w kierunku prozy operującej parabolą. Oczywiście, Greene umiejscawia ową parabolę, osadza ją niejako w obrębie werystycznej poetyki. A więc tej, którą posługiwał się niezmiennie od samego debiutu. Lecz przede wszystkim z uwagi na problematykę

„Przed ogrodem" jest opowieścią o Bogu. O Bogu pojętym jako byt enigmatyczny, niedostępny ludzkiemu rozumieniu. Człowiekowi wydaje się on tworem absurdalnym, zgoła niedorzecznym. Takim jak pan Javitt z „Przed ogrodem". Greeneowski dowód istnienia Boga jest przecież dowodem z absurdalności. Niedorzeczny porządek świata wskazuje na istnienie bytu, którego działania są dla nas nie do pojęcia.

L. B.

Graham Greene „Poczucie rzeczywistości", Pax, 1964, str. 405.

MNICH

Co to jest romans gotycki? To po prostu praszczur współczesnych powieści z dreszczykiem, powieści grozy. To zupełnie nobliwy protoplasta „kryminałów" i „przygodówki". Po tym wstępie możemy już spokojnie zachęcić naszych czytelników do wakacyjnej lektury powieści, która łacno mogłaby ujść ich uwadze: „Mnich" M. G. Lewisa — skandalizujący bestseller z roku 1796 — jest wydany przez czcigodny zakład im. Ossolińskich w szacie tzw. Biblioteki Narodowej. Przywykliśmy uważać, że są to edycje przeznaczone tylko na szkolne i uniwersyteckie lektury, że to swego rodzaju pomoce naukowe. A to błędny pogląd i nieporozumienie wyjaśnia właśnie „Mnich" — lektura ciekawa, a miejscami nawet pasjonująca. Niegdyś krytyk współczesny autorowi gorszył się, że to „trucizna dla młodych i zachęta dla rozpustników". Dziś drastyczności wyblakły, ale czegóż i tak w tej książce nie ma! Spotykamy na kartach tego dziełka i mnicha zaprzedającego duszę diabłu i demoniczną piękność służącą Lucyferowi, i Żyda-Wiecznego Tułacza i srodze uciśnionych a wiernych kochanków. Dodajmy jeszcze i historie o duchach, tajemnice zamków, krwawe tortury i intrygi klasztorów. A wreszcie słynną na całą historię literatury scenę kuszenia, o której niegdyś pisano „iż żaden mężczyzna z krwi i kości takim pokusom by się nie oparł". Dla tych czytelników, dla których wszystko to nie jest jeszcze dostateczną zachętą dodajmy, że „Mnich" uznany był za życia autora za pornografię. Wystarczy? No to szybko zabierajmy się do lektury „Mnicha"!

M. S.

M. G. Lewis. „Mnich" Z. N. Ossolińskich, 1964, płótno, stron 484, zł 36.

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

Mann Rubin

ROBOT z pistoletem

Dokładnie o godzinie drugiej każdego popołudnia dr Millard Newman przerywał przyjmowanie pacjentów, by zjeść lunch. Newman był psychoanalitykiem, miał gabinet przy Park Avenue i ogromną praktykę. Na lunch rzadko kiedy mógł przeznaczyć więcej niż 40 minut. Tego dnia jednak pacjenci nie zjawiali się i Newman miał przed sobą przynajmniej godzinę, którą mógł poświęcić na odpoczynek lub na rozpoczęcie pracy nad przyrzeczonym jednemu z czasopism naukowych artykułem o Śmierci, Snach i Dogmacie.

Przez telefon zamówił w pobliskim barze kawę i sandwiche. Nie zdziwił się więc, gdy usłyszał trzask pośpiesznie otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych. Przeszukał tylko kieszenie, by przygotować drobne na napiwek dla chłopca z baru i czekał na dźwięk dzwonka, umieszczonego w poczekalni przy drzwiach do gabinetu.

Dzwonek nie zadźwięczał. Newman wstał zza biurka, wyszedł z gabinetu, przeszedł przez korytarz i zajrzał do poczekalni. W poczekalni stał robot. Newman wiedział, że stoi przed nim robot, choć stalowe ciało okryte było przeciwdeszczowym płaszczem, a ciemne okulary i Stetson zmiękczały kontury kanciastej głowy. Metalowa dłoń robota trzymała pistolet.

— Co to ma znaczyć? — zapytał doktor.

Robot drgnął. Szklane oczy dostrzegły Newmana i obliczyły wzrost i siłę doktora. Doktor miał przez chwilę wrażenie, że stoi przed gigantyczną kamerą filmową. Stalowa pięść mocno ściskała pistolet.

— Doktor Newman? Doktor Millard Newman? — słowa, ukształtowane w rozżarzonych bateriach w głębi stalowego korpusu dźwięczały ostro, sucho.

— Tak. Ale ostrzegam: nie mam ani pieniędzy ani narkotyków. I nie toleruję strzelaniny w moim biurze.

Doktor ruszył ku robotowi, zdziwiony nie tyle nawet obecnością stalowego intruza, ile twardym dźwiękiem swego głosu.

— Nie ruszaj się — zagrzmiał robot. — Jeszcze krok a zabiję.

Newman zatrzymał się. Było coś przerażającego w ruchach robota, coś przerażone go w jego głosie.

— Pocoś tu przyszedł? Czego chcesz?

— Ja... Ja nie wiem.

Newman poczuł, że poza tymi z trudem wypowiadanymi zdaniami kryje się udręczone, zrozpaczone istnienie, nie mogące sobie dać rady z czymś, co je przerastało. Newman miewał już takich pacjentów i był lekarzem zbyt doświadczonym, by nie dostrzec symptomów choroby. Głos jego przybrał odcień dobrotliwy i profesjonalny.

— Chcesz, bym ci pomógł, tak?

— Tak.

— Masz kłopoty?

Głowa robota obróciła się wokół osi i doktor znów poczuł, że stoi przed soczewkami kamery.

— Czy jesteśmy tu sami?

Doktor kiwnął głową ze zrozumieniem. Większość jego pacjentów pytała o to samo.

— Przyszedłem tu, bo czytałem pańskie artykuły i widywałem pana w telewizji. Pomyślałem sobie, że może mi pan pomóc. Widzi pan, ja nienawidzę. Nienawidzę i pragnę zabijać. Czuję, jak mnie to ogarnia. To pragnienie zabicia kogokolwiek. Kogokolwiek, każdego, kogo spotkam.

Newman spojrzał na robota i zamyślił się na chwilę.

— Wejdźmy do gabinetu — powiedział wreszcie i wskazał za siebie. Robot westchnął i z łomotem ruszył ku drzwiom gabinetu. Nagle zadźwięczał dzwonek. Robot, wchodząc, zatrzasnął widocznie drzwi wejściowe i chłopiec z baru nie mógł dostać się do środka. Newman chciał otworzyć drzwi, ale zdołał zrobić zaledwie jeden krok. Pod przezroczystą kopułą czaszki stalowego gościa rozbłysły rozżarzone druty i robot ruszył ku doktorowi, ściskając pistolet.

— Bez głupich żartów — warknął.

— To tylko mój lunch.

— Łżesz.

Newman ruszył ku drzwiom Nie należał do ludzi, których łatwo można przestraszyć. Ale stalowa dłoń była szybsza. Robot chwycił doktora za ramię, uniósł w powietrze i cisnął pod ścianę. Dopiero wówczas Newman zrozumiał, jeszcze nigdy w życiu nie był w takim niebezpieczeństwie. Stalowa dłoń powoli opuściła się, znów pochwyciła go i postawiła na nogi..

— Kto tam jest?

— Słyszałeś przecież. Chłopiec z moim lunchem.

Stalowa dłoń zaciskała się na gardle doktora, podczas gdy w czaszce zapalały się i gasły żarówki, rozważające szczerość słów Newmana. Wreszcie werdykt został wydany: nacisk dłoni nieco zelżał.

— Dobrze — powiedział robot — Tylko spław go szybko i nie próbój mnie nabrać. Mogę zabić i ciebie i jego. Będę stać za drzwiami.

Newman został wypchnięty z poczekalni. Wiedział już, że jeśli chce wyjść z życiem z tej historii, musi pokonać i związać zwierzę, które przebudziło się w psyche robota. Lata pracy nauczyły go, że wystarczy jakikolwiek znak lęku lub bezradności, by porozumienie z pacjentem stało się niemożliwe. Szedł ku drzwiom spokojnie i bez pośpiechu. Psyche robota cierpiała z pewnością na brak archetypu ojca. Newman musiał dostarczyć ten archetyp robotowi. Gdy otwierał drzwi by wpuścić chłopca, przynoszącego lunch, był już zupełnie spokojny. Przez chwilę gawędził z chłopcem na temat ostatniego meczu i dał mu pół dolara napiwku. Niebawem siedział naprzeciw robota w swoim gabinecie. Robot warczał i rozglądał się wokół siebie. Błyski rozświetlały przezroczystą kopułę czaszki, gdy w soczewkach oczu odbijało się umeblowanie gabinetu. Pistolet wciąż tkwił w stalowej dłoni..

— Co ci jest? — spytał Newman. — Co ci dolega?

Słowa kształtowały się z trudem w metalowej krtani. Wreszcie robot wykrztusił:

— Nie wiem. Jestem chory. Chory. Wszyscy śmieją się ze mnie. Jestem pośmiewiskiem dla wszystkich. I nikt mnie nie rozumie. Nikt.

Długą chwilę ciszy przerywały tylko nieartykułowane westchnienia. Newman zrozumiał, że robot płacze.

— Niech mi pan wybaczy — powiedział wreszcie robot. — Mam ciężką nerwicę.

Newman wstał i pochylił się nad stalowym korpusem.

— Połóż się — powiedział. — O tutaj — wskazał na wąski, tapczan, przykryty białym prześcieradłem.

— Chce mnie pan nabrać — mruknął robot. — Chce mnie pan rozbroić.

— Nie, nie chcę cię rozbroić.

— Słowo?

— Słowo.

Robot położył się na tapczanie. Dopiero teraz doktor Newman mógł przyjrzeć mu się dokładnie. Kanciasty kształt miał około sześciu stóp długości. Głowa, wykonana z polerowanej stali, przymocowana była do korpusu wielkimi śrubami. Małe, kwadratowe otwory zastępowały usta i nos. Elektryczne błyski nadal krążyły pod przeźroczystą kopułą czaszki. Robot jęczał i trząsł się jak w gorączce.

— Dlaczego pragniesz zabijać? — spytał Newman. — Skąd to się bierze?

— Jestem inny. Inny. Gdziekolwiek się ruszę, ludzie patrzą na mnie i pokazują mnie palcami i śmieją się ze mnie. Nienawidzę siebie i tych ludzi i ich śmiechu. Patrzę na nich i pragnę by przestali się śmiać. Pragnę, by przestali istnieć. Pragnę zabijać.

— Kiedy po raz pierwszy ogarnęło cię to pragnienie?

— Gdy wystawiono mnie na widok publiczny.

— Kto cię zbudował?

— Profesor Otto Grumbach, w 1959 roku. Zbudował mnie i wszystkiego nauczył i kochał jak syna. Byłem wówczas szczęśliwy. W jego laboratorium czułem się jak we własnym domu.

— A potem?

— Profesor umarł sześć miesięcy temu. Zaopiekowała się mną jego żona. Ale to nie było już to samo. Nie rozumiała mnie i nie kochała. Po dwóch miesiącach doszła do wniosku, że moje utrzymanie kosztuje zbyt wiele. Sprzedała mnie uczonym z Electrical Research Company — głos robota załamał się, a cała metaliczna struktura zdawała się drżeć od powstrzymywanego z trudem łkania. — O, pan nie wie, co to znaczy stać całymi godzinami na wystawie i patrzeć na ludzi chichoczących i robiących głupie żarty. To było straszne. Nagle stałem się czymś zbędnym i dziwacznym, mechaniczną zabawką zaopatrzoną w mózg zbudowany z baterii i przewodów. Nie było dla mnie miejsca w świecie zamieszkanym przez ludzi. Straciłem poczucie przynależności. Dlatego znienawidziłem ich. Posiadali to, czego ja nie posiadałem. Doktorze, błagam pana: niech mi pan przywróci poczucie człowieczeństwa.

— Nie jestem cudotwórcą — powiedział Newman.

— Ale ja nie mogę dłużej tak żyć — jęknął robot.

— Być może, nie jest jeszcze z tobą tak źle — powiedział Newman.

— Co pan ma na myśli?

— Przypatrz się sobie. Dostrzeż dobre strony swego życia. Nie wiesz, czym jest choroba, starość, ból.

— Myśli pan, że nie mam duszy? Że dusza mnie nie boli?

— Cierpienie nie uczyni cię człowiekiem. Musisz zaakceptować siebie takim jakim jesteś.

— Nie mogę. Czy pan tego nie rozumie? Chcę żyć tak, jak żyją inni ludzie. Po ludzku.

Newman westchnął i zaczął mówić powoli i z namysłem, wciąż patrząc na lśniącą lufę pistoletu. Mówił o postępach nauki i o dobrodziejstwach, które nauka przynosi ludzkości. Mówił o ludziach, którzy każdy nowy wynalazek traktowali z niedowierzaniem i z ironią, póki nie przekonali się, że wynalazek jest im niezbędny dla życia. Mówił, że gdy tylko rasa robotów okaże się niezbędna, ludzie zaczną domagać się powiększenia ich liczby. Być może, pojawią się, i to niebawem roboty płci żeńskiej i przyszłość zobaczy rodziny ludzi i rodziny robotów, żyjące przyjaźnie obok siebie. Każdy robot może więc stać się przodkiem nowej cywilizacji. Automatyzacja jest procesem niepowstrzymalnym i robot, żyjący życiem robota i akceptujący swój status robota, będzie w przyszłości mógł spoglądać na ludzi z taką samą pogardą, jaką dzisiaj jest przez nich obdarzany.

Gdy Newman skończył, robot siedział przez długą chwilę w milczeniu.

— Kto by to pomyślał? — powiedział wreszcie. — Straciłem tyle czasu, lękając się i nienawidząc. A mogłem zrobić tyle dobrego dla przyszłych generacji. Byłem głupcem.

Przeciągnął się i wesoło zagwizdał.

— Pamiętaj — powiedział doktor. — Nie masz się czego wstydzić. Twój los jest w twoich dłoniach.

Robot wstał z tapczanu. Jego ruchy były teraz sprawne i szybkie.

— To zadziwiające. Nie nienawidzę już nikogo. Nie zabiłbym teraz nawet muchy.

Newman odprowadził swego pacjenta do drzwi. Robot uścisnął mu dłoń.

— Jest pan wielkim człowiekiem — powiedział. — Zdjął pan ze mnie ten straszny ciężar.

Metaliczne kroki zadudniły w hallu i w korytarzu. Drzwi zatrzasnęły się. Newman wrócił do gabinetu. Podszedł do okna i spojrzał na korony drzew, rosnących wzdłuż ulicy. Niewysłowiony spokój zapanował w sercu doktora. Pomógł umęczonej, storturowanej duszy. Przez wiele lat pomagał umęczonym i storturowanym. Ale nigdy nie ryzykował jeszcze przy tym własnym życiem. Poczuł się nagle zmęczony. Podszedł do biurka i wyjął leżący między papierami mały, błyszczący klucz. Dotknął swej szyi i wymacał ukrytą pod kołnierzykiem szczelinę w stalowym korpusie. Włożył w nią klucz i myśląc jeszcze o swym dziwacznym, cudownie uleczonym pacjencie, zaczął się nakręcać przed następną wizytą.

Tłum. K.T.

Lewym okiem

CZEREŚNIE Z TRUPIĄ GŁÓWKĄ

Pamiętacie może powieść — sfilmowaną zresztą, choć niezbyt fortunnie — czeskiego autora, Karola Capka, „Krakatit"? Mowa tam o wynalazcy, który każdą prawie substancję potrafił zamienić w środek wybuchowy o ogromnej sile niszczenia. Zwykłym szaleńcom nie daje się do ręki brzytwy. Genialnemu wynalazcy nie można było dać mydła do golenia, bo po paru dniach manipulacji wysadził mydłem w powietrze połowę miasta.

A może pamiętacie też jegomościa, któremu lekarz zaapli kował plaster na bóle w krzyżu? Po paru dniach pacjent przychodzi ponownie i na pytanie lekarza, czy pozbył się już bólów, odpowiada: owszem, tylko teraz nie mogę się pozbyć plastra. Po co przypominam ten długobrody kawał?

Oto donosi prasa, że kilkunastoletni chłopiec w województwie rzeszowskim zatruł się śmiertelnie czereśniami. Zatruł się, bo — jak podano w komentarzu — ogrodnik spryskał owoce środkiem owadobójczym na niecałe dwadzieścia jeden dni przed zerwaniem jagódek. Gdyby po pryskaniu odczekał dwadzieścia jeden dni, wszystko byłoby w porządku. Kupując więc czereśnie, a także kupując truskawki, wiśnie, jabłka, gruszki, śliwki i porzeczki — żądajcie do każdej torebki atestu, stwierdzającego za odpowiednimi podpisami odpowiednich komisji, że pryskanie zakończono odpowiednio dawno. Żeby komisja mogła taki atest uczciwie podpisać, musi oczywiście komisyjnie uczestniczyć w pryskaniu, następnie czuwać nad opryskanym sadem bez przerwy przez trzy tygodnie, zbierając dla zabicia czasu z ziemi zatrute wróble i szpaki, następnie komisyjnie zerwać owoce i zaplombować w torebkach, żeby uniemożliwić zamianę.

Jesteśmy już prawie na etapie Krakatitu. Do starych, poczciwych trujących grzybów doszły trujące lody, mleko, kiełbasa, konserwy, czereśnie, wachlarz niepokojąco się rozszerza. Nie nadążamy z komisjami, plombowaniem torebek, zabezpieczeniem roszczeń ewentualnych poszkodowanych. Więc inna propozycja: opisać w paru słowach na torebce, co grozić może nabywcy, i niech kupuje na własną odpowiedzialność. Niech płucze śliwki w odczynnikach, niech dezynfekuje czereśnie i gotuje ogórki.

Albo jeszcze inna, najtrudniejsza zresztą do realizacji, bo oczywista: wszystko, cokolwiek się wprowadza w użycie, badać uprzednio nie tylko pod kątem „parametrów" techniczno-ekonomicznych, efektownych skutków w jednokierunkowym działaniu, lecz przede wszystkim pod kątem współdziałania ze sferą organizmu ludzkiego, jego uczuleń, grymasów i ograniczeń. Żeby — dla przykładu — kapelusz ze sztucznej sierści był nie tylko miękki, lekki, piękny i tani, ale także żeby nie powodował wysypki na czole; żeby od środka na odciski nie dostawa[illegible] na nosie; żeby zlikwidowanie robaczków w czereśniach nie odbywało się kosztem narażenia ludzi na wypadki tragiczne: słowem — żebyśmy pozbywszy się reumatyzmu, nie zginęli uduszeni plastrami.

CWIEK

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Wanda Karczewska, Tadeusz Papier, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 2332. VII. 64. F-4.